№ 45 Warszawa, dnia 27 Października (8 Listopada) roku 1879.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

SYN PUSZCZY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Fryderyka Halma.

Przełożony z niemieckiego

przez

Józefa Grajnerta.

OSOBY:

Timarch, Rządzca Masalii
Polidor kupiec
Miron płatnerz
Andrast
Amyntas
Elpenor
Lykon rybak
— Obywatele Massalii.
Ingomar wódz hordy Tektosagów
Alastor
Trinobant
Ambiwar
Nowio
Samon
— Tektosagowie
Aktea żona Mirona
Partenia córka Mirona i Aktei
Teana sąsiadka Mirona
Herold, Panowie Radni Massalii, Grecy i Greczynki.

Rzecz dzieje się w Galii, w sto lat po założeniu Masalii (późniejszéj Marsylii) przez Focejczyków.

AKT I.

Massalja, Rynek, z przodu sceny na prawo dom Mirona. (Aktea siedząc na progu domu, o stopień niżéj u jéj stóp Partenia, przędząc na kołowrotku; obok niéj koszyk ze lnem).

Aktea.

Zważ tylko dziecko. Polidor choć wdowiec,
Przecież lat jarych, przytem człek bogaty,
Pan znakomity, poważany; właśnie
Pragnie twéj ręki.

Partenia (wstając).

Słońce już zachodzi;
Na dzisiaj chyba dość tego przędzenia.
Mam od sąsiada odebrać oliwki,
Muszę więc wybiedz.

Aktea.

Nie, zostaniesz ze mną,
Musisz mnie słuchać, trzpiocie! Już za długo
Bawisz się w płoche, dziecinne pustoty,
W bezmyślne fraszki! Czas przyszedł nareszcie
Pozbyć się z gruntu tych dzikich nawyknień,
I do słuchania poważnych słów wdrożyć,

Partenia (siadając znowu).

Słucham mateczkę!

Aktea.

Tak przyświadczasz zawsze,
I podczas, gdy ja chrypnę od mówienia,
Ty biegniesz myślą na pola na błonia,
Gdzie niegdyś sama bujałaś jak motyl;
Lecz teraz czas już kwiateczki wiośniane
Krzewić w jesienne. Młodość tylko służy
Zalotom, ale znika ona szybko;
Zaś niezamężnych czeka przykra dola,
Starość samotna i głópców szyderstwa:
To ciebie spotka, bo twój umysł płochy
Nie chce posłuchu rad mądrych, i czyni
Bogom na przekór! Tak, najprzód Medona
Wręcz odtrąciłaś.

Partenia.

Ach, ten jak szron siwy
Tak zrzędził, dreptał.

Aktea.

A potém Evandra.

Partenia.

Ten zdala pachniał maścią, olejkami,
Wyglądał, niby chodząca apteka!

Aktea (podskoczywszy z gniewem, podczas gdy Partenia nie przestaje prząść).

Dobrze! leć w przepaść! Depcz swe szczęście sama,
Lecz pomnij! zawsze po głupstwie żal idzie.
Ty pewnie myślisz że na drzewie życia
Dla ciebie tylko kwitnie cudna dola;
Ty się przemądrą, piękną pewnie cenisz,
Nawet bogatą.

Partenia (szybko powstając).

Jam młoda, wesoła,
(ściskając matkę)
Wy mnie kochacie, czegóż pragnąć więcéj?

Aktea.

My cię kochamy. Tak, chocieś niewarta,
Przez bogi żywe, tak, my cię kochamy!
Lecz nie, ja ciebie mam tulić do łona!
Jam zła na ciebie, zgniewana. Idź sobie!
My cię kochamy, lecz ty nas nie kochasz;
Nam tylko na złość ty nie chcesz wyjść za mąż,
Bo tobie w głowie coś się przywidziało
Czekać na męża z księżyca.

Partenia.

O, na co
Ja czekam? Zaraz powiem ci mateczko!
Choć jeszcze byłam dzieckiem, lecz pamiętam,
Raz o Leandrze i Herze mówiłaś,
O ich miłości; a gdym cię spytała,
Co to jest miłość, ty się uśmiechnąwszy,
Prawiłaś, jak się miłość zjawia, rośnie,
Jak nagle w zmierzchu serca jasność błyska.
A bicie serca szepcze: Ten jest właśnie!
Ten w piersi swojéj część méj duszy nosi,
Z tym ja żyć pragnę i skonać na wieki!

Jakeś mówiła; jam to spamiętała;
A gdy Ewander i Medon przybyli
Starać się o mnie, dłoń ukradkiem kładłam
Na serce, pilnie podsłuchując tętna,
Słuchałam, ale serce wciąż milczało,
Tak jak dziś czekam, by przemówić chciało!

Aktea.

Co ty tam prawisz, jam tylko,
(do siebie) Na bogi!
Tak to nas wszystkich z młodem sercem stary
Język odbiega!
(głośno) O, ty głupie dziecko!
Więc czekasz tylko na to, żeby serce
Ci przemówiło? Wybijże to z głowy!
Jeźlim ci kiedy brednie te prawiła,
To był żart tylko, czcza bajka dziecinna,
Co w słodkiéj nazwie kryje nikłą marę.
Ty wzrok swój skieruj do rzeczywistości
I kuj żelazo póki jest gorące;
Nie zjawi ci się drugi jak Polidor,
Taki szanowny, bogaty.

Partenia.

Szanowny,
A ojca gniecie za towary swoje,
I ciuła, sknerzy.

Aktea.

Ty się nie znasz na tem;
On jest gospodarz rządny; gdy już będziesz
Małżonką jego, rzeczy się odmienią.
Raz się ustatkuj. Rzeknij: Tak! Przez miłość
Dla mnie: Tak! powiedz, me dziecko!

Partenia.

Mateczko,
Już nie chcę bujać po łąkach po lesie,
Cicho przysiądę jak drugie dziewczęta,
Ni cię zasmucę, z oczu twoich będę
Czytać twą wolę, ale Polidora,
Ach, tego za nic w życiu nie chcę, nigdy
Ja zań nie pójdę!

Aktea.

Nie!

Partenia.

Gniewasz się na mnie?
Cóż zrobić, muszę raz to wyznać szczerze.

Aktea.

A ja ci mówię, my, twoi rodzice,
Już się starzejem, do spoczynku tęsknim;
Dom i te kilka morgów odłużone:
Ojciec twój tylko biednym jest płatnerzem,
A gdy mu przyjdzie dniem pole obrabiać,
To musi nocą bić młotami w kuźni,
Gdy zaś robota w polu stanie, wtedy
Obciążon swemi orężami, jak dziś
Idzie je sprzedać po sąsiednich wioskach.

Partenia.

Ach, biedny ojciec!

Aktea.

Biedny! jam biedniejsza!
Ja siedzę w domu lecz ma troska biegnie
Wraz z nim i dźwiga ten ciężar orężny,
I dyszy wraz z nim tam po górach; czuję
Burze, co jego targają włos siwy,
I deszcze, które na niego się leją,
I myślę, czy tam, w ciemnych gór wąwozach
Allobrogowie dzicy, albo od nich
Tektosagowie gorsi nań napadli,
Obdarli, lub też zabili go może!
O, wtedy płacz mię porywa. Ty jednak,
Którą on kocha, jak źrenicę w oku,
Dla któréj krew swą, ciało, życie święci,
Ty możesz z ciężkich trosk go oswobodzić,
I mnie łzy otrzéć, i nas uszczęśliwić
I stać się sama szczęśliwą! Ty możesz,
Lecz nie chcesz tego uczynić niewdzięczna!
(odchodzi do domu).

Partenia (po chwili).

Niewdzięczna! O, nie, bogi wiedzą, że nie!
Niewdzięczną nigdy nie jestem, nie będę!
Dla mnie mu wichry siwy włos targają,
Dla mnie stękając pod ciężkiem brzemieniem
Pnie się po górach dysząc! Lecz dość tego,
Tak, ja ukarzę kłamstwo matki, ja chcę...
Cóż ja chcę? Czy mam wziąć ślub z tym kramarzem?
Wieczyste bogi! Nie, tego nie zrobię,
To znaczy umrzéć, żywcem się pogrzebać.
Lecz czegóż mam się trapić? Ha! czas leci;
Dopiero przyszłość tak nam błysła jasno,
Szczęście nieznane, choć przeczute, nagle
Zbudziło serce, a w tem matka rzekła:
Że miłość to szał, co bajka nic więcéj,
Więc wszystko wreszcie na ziemi złudzeniem,
Wszystko jest bajką, co to życie zdobi,
A rzeczywistem tylko jednostajność:
A więc na niebo! nie stracę nic wcale,
I na dnie gorsze schowam skargi, żale,
Choć pewnie rzeczą najgorszą jest właśnie
Podać zatracie młodzieńczych snów baśnie!...
Lecz mniejsza o to, precz z wszelkim namysłem!
Dosyć już trudów zniósł mój ojciec dla mnie,
Tak, dość. Ktoś idzie, Polidor.
(czyni poruszenie ku wyjściu).
Ale nie!
Zostanę. Wszak mam szczęście sprzedać swoje,
Niech wiem za jaką oddam mu się cenę!
Tu idzie, a jak puszy się i rzuca
Głową do góry, czoło w fałdy składa,
I z òcz, i z chodu patrzy próżność, pycha;
Ja żoną jego... Myśl ta serce mrozi.
(Podchodzi do kądzieli i zabiera się do przędzenia, podczas gdy Polidor z głębi sceny lewą stroną wchodzi).

Polidor (nie spostrzegłszy Partenii).

Źle: ten niewolnik mój obje mnie do cna,
A gdybym go znów odprawił od dzieci,
To jakże mógłbym ja sam wszystkie ustrzedz;
Źle mi bez żony, źle.

Partenia (do siebie).

Czyż nie wygląda,
Jakby na barkach losy świata dźwigał,
I w zakład idę, że liczy hallerze.

Polidor.

Choć nie zastąpi mi nic Kalliniki,
Téj duszy domu, oszczędnéj jak żadna,
Ale płatnerza córka ma też zakrój
Na niezłą żonę, jeźli ją wybiorę,
Wybiorę dobrze! Lecz to ona sama;
Jako znak bogów cenię to spotkanie.
Dzień dobry, miła dzieweczko, dzień dobry!

Partenia.

Raczéj, dobra noc, bo już słońce zaszło.

Polidor.

Pozwól mi zawsze dzień dobry ci mówić,
Nocy tam nie ma, gdzie twe oczko świeci.

Partenia (do siebie).

Wielką ma widzę, chętkę do uśmiechu!
(głośno)
Proszę cię, słówka piękne rzuć na stronę,
Pierwéj o rzeczach pomówmy poważnych!
Podobno myślisz ożenić się ze mną.

Polidor (do siebie).

Sama mysz śpieszy w pułapkę... Bo jakże,
Czyż miłość chodzi z cierpliwością w parze?
(głośno)
Tak, tak, o! myślę.

Partenia.

Mówiła mi matka,
A ja się dziwię, że wybór padł na mnie,
Że Kalliniki tak prędkoś zapomniał.

Polidor.

Zapomniał. O, nie! Taki człowiek jak ja,
Nie zapomina strat w złocie, pieniądzach,
Lub w mieniu, a tem była Kallinika
Dla mnie; lecz ważny mię powód napiera
Do nowych związków! Nadewszystko dzieci.

Partenia.

Biedne sieroty.

Polidor.

Tak znów biedne nie są.
Prawda, żarłoczne, istne wilkołaki,
Niesforne bębny! Ale czyż mam przeto
Za gruby pieniądz z Samos lub Miletu
Sprowadzać sobie do dom pedagoga?
Czyż nie łagodność zdziczałych poskramia?
A ty, ty jesteś łagodną.

Partenia.

Łagodną?
(odwróciwszy się, do siebie).
Tak jak baranek, gdy go pod nóż wiodą.

Polidor.

Prócz tego muszę często dla sprawunków
Z domu wychodzić na targi, to znowu
Nad morze, w przystań, możeż wtedy strzedz mi
Niewolnik domu i składu towarów,
Lub drogocennych kufrów? To, znać, umie
Tylko kobieta, żona wierna! Wreszcie,
Co prawda jeszcze dziarski jestem, czasem
Czuję się młodym, choć się już zjawiają
Zwiastuny wieku podeszłego, owdzie
Włos się zabieli i podagra zarwie
Czasem po nogach, któż mię wtedy dojrzy,
Izbę ogrzeję, ugotuje ziółek
Albo kleiku, jeśli nie kochana
Żoneczka.

Partenia (do siebie).

Tracę odwagę, bogowie!

Polidor.

Jest jeszcze powód; lecz ten promienieje
Już z twoich oczàt, kwitnie ci z buziaka;
Mój to pączuszek różany.

Partenia.

Ten powód
Schowaj dla siebie, jedno tylko powiedz.
Wiesz, że mój ojciec sprawia rolę, męczy
Się przy kowadle, na barkach swych nosi
Ciężkie towary daleko, do kupców,
A jest już w latach, i spoczynku pragnie!
Więc czy się zajmiesz nim, gdy będę twoją?

Polidor.

Ba! bezwątpienia. A jakże, a jakże,
Dojrzale nad tem namyślić się muszę!...

Partenia.

I zrobić, cóż dla mego ojca zrobisz?

Polidor.

Zrobić. Co ja mam zrobić, pytasz? Ho, ho,
Chwalić się wcale nie lubię, lecz zrobię,
Co sobie żywnie życzysz! Najprzód teściem
Moim zostanie, teściem Polidora,
I bogatego Polidora krewnym,
A ród od bogów wiodą przodki moje;
Pomyślno, dziecko, co za cześć, od bogów!

Partenia.

Być może, ale cześć chleba mu nie da!

(d. c. n.)

Sonet zimowy.

PRZEZ

Tomasza Olizarowskiego.

Przez pola brylantowe, do srebrnego lasu,
A z lasu w świat szeroki, przez góry, przez doły,
Unosiły sankami pocztowe sokoły,
W świat leciałem, a ze mną niebianka z Parnasu.

Choć może była szkoda czasu i atłasu,
Choć smutna była pora i srogie żywioły
Śród zimy, w stronę smutku leciałem wesoły.
Zimo! lubiłem ciebie za méj wiosny czasu.

Lubiłem twoje mroźne uściski niedźwiedzie,
Twoje tańce śniegowe, twoje gołoledzie,
Zaklętych wiatrów skargi po starych kościołach,

Po zamkach rozwalonych, po dzikich gór czołach;
Ongi miały rozbudę, dumki moje w tobie,
Dziś pobudki do pieśni wolę szukać w grobie.

Mąż Zuzanny.

NOWELLA

przez Jerzego Vautiér.

(Dokończenie).

Powróciłem na ulicę Neuve-des-Petits-Champs, aby zbadać dokładniéj dom modniarki; rzeczywiście miał dwa wychody. Przeczekałem jeszcze całą godzinę napróżno, Zuzanna odeszła już widocznie. Tymczasem spostrzegłem że zaczynam wzbudzać ciekawość sąsiadów, zdecydowałem się wrócić do Tuillerów i tam zaczekać na żonę. Zaledwie doszedłem do kraty ogrodu, dwoje drobnych rączek uchwyciło mnie za kolana.

— Tata! tata!

Ujrzałem przed sobą żonę i syna; wychodzili już, Zuzanna więc musiała dawno powrócić; to mnie uspokoiło. Idąc obok niéj, milczący zgnębiony tylu doznanemi wrażeniami spostrzegłem że Piotruś niósł nowego olbrzymiego poliszynela.

— Kto ci to dał? zapytałem go.

— Pan Felicyan.

Nie mogłem ukryć niezadowolenia, żona odgadła bez wątpienia gniew mój, bo prędko dodała:

— Pan Felicyan przyszedł tu do Piotrusia podczas mojéj nieobecności. Naprawdę psuje nam chłopca; ile razy go spotka zawsze mu daje zabawki lub cukierki.

— Zatem często odwiedza go w ogrodzie?

— Dość często, wiesz jak przepada za dziećmi. Ma podobno na przedmieściu Saint-Germain kilku małych pacyentów, których codzień popołudniu odwiedza. Przechodząc więc przez ogród, zatrzymuje się często przy Piotrusiu.

— Nigdy mi o tem nie mówiłaś.

— Widuję go bardzo rzadko; zwykle przychodzi podczas mojéj nieobecności. Po chwili z zupełnym spokojem przerwała znowu milczenie.

— Dziś bardzo krótko byłam u mojéj modniarki. Zmieniłam tylko kapelusz. Nie zwróciłeś nawet uwagi że wyszłam z domu w innym kapeluszu a wracam w innym. Powiedz jak ci się ten podoba, prawda że ładniutki?

Powróciliśmy do domu. Uspokoiłem się trochę usiadłszy w saloniku pomiędzy dzieckiem i żoną i rozmyślając o wypadkach dnia dzisiejszego, zapytywałem sam siebie, czy pod wpływem jakiejś strasznéj hallucynacyi nie pomieszałem teraźniejszości z przeszłością, czy nie odegrałem przypadkiem niegodnéj mnie i śmiesznéj zarazem roli. Gwałtowny głos dzwonka wyrwał mnie z tych uspakajających rozmyślań a w dzwonieniu tem odczułem zbliżające się niebezpieczeństwo.

Dzwonek nie przycichł jeszcze, kiedy do salonu wpadła matka mojéj żony i idąc wprost do mnie zawołała nie witając się nawet.

— W téj chwili widziałam panią de Verceil.

— Joannę! wykrzyknąłem mimowolnie, nieprzygotowany na podobną niespodziankę. Zuzanna na szczęście nie usłyszała mego wykrzykniku, zajęta będąc dzieckiem, które gramoliło się na krzesło aby ucałować babcię.

Pani de Haintenois aż podskoczyła z oburzenia a potem lornetując mnie pogardliwie, powtórzyła głosem pełnym groźby i złośliwości.

— Joannę... tak jest, Joannę.

Nie odrzekłem ani słowa.

— Mąż jéj właśnie przy mnie powrócił, mówiła daléj napawając się odniesionym tryumfem. Opowiedział nam ze śmiechem, że spotkał cię na ulicy idącego wślad za Zuzanną szpiegującego, narażającego ją śmieszną swoją zazdrością na obmowę. Z początku nie chciałam temu wierzyć, ale gdy mnie zaczął przekonywać...

— Pan do Verceil mówił pani prawdę.

Postąpiłem krok jeden chcąc się zbliżyć do żony ale pani de Haintenois zatarasowała mi drogę twarz jéj przybrała barwę szkarłatną, a w oczach pioruny świeciły.

— Przyznajesz więc że to prawda.

— Jednéj Zuzannie udzielę wyjaśnień pod tym względem, jeśli ich żądać będzie, odparłem stanowczo.

Było to nierozsądnie z méj strony lepiéj było przetrzymać burzę. Nie będę ci powtarzał wyrzutów jakiemi obsypany zostałem; pani de Haintenois wpadła w oratorski zapał, iż niepodobna było jéj przerwać. Biedny Piotruś, przestraszony gwałtownemi jéj ruchami, ukrył się z płaczem na łonie matki, która blada z załzawionem okiem, starając się uspokoić dziecko, zwracała ku mnie pytające spojrzenie, a milcząca jéj wymówka przykrzejszą mi była aniżeli wrzaskliwa filipika pani de Haintenois, którą zimna krew moja zamiast ułagodzić, bardziéj jeszcze rozdrażniała.

— Zasłużyłeś, mówiła w swéj zapalczywości, aby cię to spotkało czego się tak obawiasz, i gdyby Zuzanna chciała mnie słuchać...

Ah! tego było już za wiele... zbrakło mi cierpliwości, i gdyby nie wdanie się mojéj żony, która rzuciła się między nas, kto wie jaką by była moja odpowiedź. Czując że gniew mną owłada, wyszedłem z salonu i zamknąłem się w swoim pokoju. Czyż to nie fataluość prawdziwa? W chwili właśnie kiedy spokój zaczął wstępować do umysłu mego, trzeba było aby ta nieszczęsna sprzeczka na nowo wznieciła dręczące mnie obawy. Po upływie może pół godziny ujrzałem wchodzącą Zuzannę, była niewykle wzruszoną.

— Matka odeszła już, rzekła, uspokoiłam ją. Prawda że nie masz do niéj urazy? Wiesz, jak mnie kocha; uniosła się cokolwiek, ale jestem pewna, że powiedziała to bez żadnéj złéj myśli.

Rumieniec oblał lica méj żony, jakby lękała się powtórzyć śmieszną ową groźbę, jaką rzuciła mi jéj matka. A potem twarz jéj zmieniła się nagle, oczy przybrały błagalny wyraz i zapytała nagle zbliżając się ku mnie:

— Powiedz mi szczerze, Gastonie, czy to prawda co pan de Verceil opowiadał mojéj matce?

— Prawda.

Ani przez myśl mi nie przeszło aby skłamać, wiedziałem dobrze, że kłamstwo moje nie zaspokoi jéj.

— Szedłeś za mną, śledziłeś moje kroki i posądzasz mnie więc że mam kochanka?

Ostatnie te słowa wymówiła z bolesnym przymusem.

— Nie posądzam cię wcale.

— Zkąd ta nieufność? Po co to szpiegowanie, skoro już trzeba nazywać rzeczy po imieniu? Czy dałam ci choćby najmniejszy powód do powątpiewania o mojéj wierności? Powiedz Gastonie, co takiego uczyniłam, co mi zarzucasz?

— Nie mam ci nic do zarzucenia.

— A więc?

— Nie możesz tego zrozumiéć co ja doświadczam. Lękam się.

— Lękasz się abym ci się nieprzeniewierzyła? Przypuszczasz więc że cię nie kocham.

Ukryła twarz w rękach a dwie wielkie łzy, jasne jak brylanty stoczyły się wzdłuż drobnych jéj paluszków.

— Wiem że mnie kochasz, odpowiedziałem, ale wiem także jak łatwo miłość i piękne kobiety jak ty, dają się uwieść pozorami, ułudą z ciekawości lub téż przez kokieteryą. Poznałem świat z blizka i nie ufam mu wcale.

— Wątpisz zatem o mojej uczciwości?

— Znałem najuczciwsze kobiety, które nie umiały oprzéć się pokusie.

— Ah!...

Było w tem „ah!" coś tak pogardliwego, tak upokarzającego, że nie śmiałem odezwać się.

— Nie wiem, rzekła, kogo masz na myśli, i nie chcę tego wiedziéć; pochlebiałam sobie, że nie oceniasz mnie na równi z osobami o których mówisz, nigdy bowiem przypuszczać nie mogłam abyś chciał żonę swoją porównywać ze swemi kochankami,..

— Zuzanno! To nie...

— Proszę cię przestań już. Nie domyślasz się nawet jak wielki ból mi sprawiasz; gotowa jestem zwątpić o tobie i o saméj sobie.

Chciałem jéj wypowiedziéć co działo się ze mną; nie mogąc jednak wyznać całéj prawdy, tłomaczyłem się niezręcznie, bez taktu; zrozumiéć mnie też nie mogła.

— Przerażasz mnie swemi zasadami, rzekła, ale nie pojmuję ich wcale. Pytam się raz jeszcze o co mnie posądzasz?

— O nic cię nie posądzam, lękam się tylko...

Nastąpiła chwila milczenia, która mi się wiekiem wydała. Zuzanna wsparta w zamyśleniu o biórko, przerzucała leżące na nim papiery. Naraz z sąsiedniego pokoju doleciał nas płaczliwy głos Piotrusia, który widocznie nudząc się w samotności przywoływał matkę na pomoc. Żona moja w milczeniu posunęła się wolnym krokiem ku drzwiom.

— Gdzie idziesz? zapytałem.

— Do dziecka, słyszysz przecież że mnie woła.

Oczy jéj suche były, ale gdy drzwi zamknęły się za nią, usłyszałem gwałtowne jej łkanie, przenikające mnie do głębi serca. Nie wiem jakie fałszywe uczucie wstydu wstrzymało mnie żem nie poszedł za nią.

Cała już doba od téj chwili upłynęła, a ja nie mogę odzyskać spokoju umysłu. Dziś rano Zuzanna miała zaczerwienione oczy ale nic nie mówiła i ja tyle jeszcze miałem mocy nad sobą, że nie przerwałem drażliwego milczenia. W ciągu dnia odwiedziła nas pani de Haintenois najmniejszą je-

dnak wzmianką nie poruszyło wypadków wczorajszych...

Czemuż nie mam cię przy sobie! Ty najlepszą byś mógł udzielić mi radę, w ciężkich tych przejściach domowych. Ale, pomijając już osobiste moje sprawy, czemuż to, w samej rzeczy, nie powracasz dotąd?..

VII.

Jakąż niespodziewaną wiadomość otrzymuję od ciebie! Żenisz się w tym miesiącu ze swoją kuzynką! Więc to dlatego tak ci było pilno uciec z Paryża i zakopać się na prowincyi? A cóż będzie teraz z owemi pięknemi morałami, jakiemi tak hojnie szafowałeś dla mnie? Przyszła kolej i na ciebie. Małżeństwo zapewnia szczęście i ty będziesz niezawodnie szczęśliwym, ale mówiąc między nami, i ty nie prowadziłeś dotąd życia anachorety i ty niejednokrotnie sięgałeś po cudze dobro; słuszna więc że i ty doznasz wyrzutów sumienia... przypomnisz sobie nieraz, że ginie od miecza kto mieczem wojuje...

Spotkamy się w teatrze i nagle ujrzę cię zrywającego się z fotelu, bo żona twoja trzy razy z rzędu dotknęła końcem ust wachlarza, a ty przypomniałeś sobie, że niegdyś, w ten sam sposób, dawano ci w obecności męża znak, iż jesteś oczekiwanym; wychylić się z loży aby zobaczyć ukrytego nieprzyjaciela, a widząc na okół same tylko obojętne twarze i słysząc stłumiony uśmiech zdziwienia twojej żony, zajmiesz napowrót swoje miejsce, zawstydzony, zgniewany sam na siebie, żeś się dał uwieść wspomnieniom przeszłości, uspokojony na chwilę, ale z sercem zakrwawionem jeszcze z przelotną a bolesną w niem raną, a ja ci szepnę na ucho:

— I ja toż samo przebyłem; wiem jakie cierpienia sprawia podobna chwila!

Najlepsi przyjaciele wychwalać będą piękność twojej żony, a ty w pochwałach ich upatrywać będziesz ukrytą groźbę i przeklinać zaczniesz potęgę wdzięków, które wzbudziły twoją miłość.

Zdarzy ci się, że niezwykła pieszczota, niespodziewana czułość twéj żony, przywiedzie ci na myśl iż w taki sam sposób inna kiedyś kobieta, starała się pokryć przed swoim mężem zbrodniczy z tobą stosunek, że kłamanem uczuciem chciała uśpić podejrzenie jego. W chwili podobnéj, zapytasz niezawodnie sam siebie. „Co znaczyć ma ta czułość nadzwyczajna?

A gdy w kilka sekund później, uznasz sam całą ohydę niesłusznych podejrzeń, będzie już zapóźno; już żona twa będzie zniechęconą, zasmuconą chłodnem obejściem się twojem, nie będziesz w możności usprawiedliwienia się i stracisz jedną z najrozkoszniejszych chwil w życiu. Niestety! chwile stracone niczem już wynagrodzić się nie dadzą! każda z nich unosi z sobą cząstkę ufności wzajemnéj i szczęścia...

— Bolesnéj tej prawdy doświadczam obecnie na sobie; od ostatniego zajścia Zuzanna jest smutna, zamyślona; przyszło znowu pomiędzy nami do sprzeczek i to jedna po drugiéj, a przed kilku dniami, powiedziała mi, zanosząc się od płaczu.

— Widzę, że już przestałeś mnie kochać!

— To jéj kochana matka podsunęła jéj tę myśl z powodu, iż uważałem za właściwe nie przyjąć kilku zaproszeń na zabawy, co nastręczyło jéj sposobność przedstawienia mnie w oczach żony, jako tyrana i zazdrośnika. Odtąd zapanował pomiędzy nami pewien rodzaj przymusu w miejsce dawnéj serdecznéj zażyłości; Zuzanna nie może mi przebaczyć moich nieuzasadnionych obaw. Chciałbym wywieść ją ztąd wraz z dzieckiem, powrócić do Florencyi, aby tam, w dali od Paryża i jego salonów, na nowo życie rozpocząć. Lecz pani de Haiutenois nie omieszkałaby pospieszyć za nami. Alboż Zuzanna nie należy więcéj do niej aniżeli do mnie? Nie jest że ona jéj skarbem jéj dumą i chlubą? Czyliż nie dlatego tylko wprowadziła ją w świat, aby świat ten podziwiał i uwielbiał przymioty jéj duszy i ciała? Pani de Haintenois, obok wielu właściwych sobie zalet, ma żyłkę próżniactwa; gotowaby jeszcze wytoczyć proces i wtrącić do więzienia za to, że niepozwalam nikomu umizgać się do mojéj żony!

— Samolub ze mnie. opowiadam ci własne moje kłopoty, jak gdybyś i ty nie stał na progu małżeństwa; cóż ciebie obchodzić dziś mogą moje utyskiwania i proroctwa? Bezporównania lepszym jesteś ode mnie; puszczasz w niepamięć niegodziwe zatajenie mego małżeństwa i zapraszasz mnie na drużbę. Z ochotą przyjmuję to zaproszenie. Przyjadę, jak tego żądasz, w wigiliją podpisania aktu ślubnego; będzie to dla mnie najmilszem spełnieniem obowiązku przyjaźni.

VIII.

Przed chwilą wyprawiłem do ciebie depeszę. z któréj niewiele zrozumiesz, chyba to, że wracam z połowy drogi i że nie masz potrzeby czekać dziś na mnie. List ten piszę na kulejącym stoliku, w dworcu jakiegoś przystanku kolejowego, który nie wiem nawet jak się nazywa, a gdzie wysiadłem przed kwadransem. Mógłbym był znaleźć jaką bądź wymówkę, powiedzieć ci naprzykład, że mgła nie dozwoliła mi jechać daléj, ale wolę raczéj wyznać szczerą prawdę.

Stosownie do danego ci przyrzeczenia, wyjechałem z Paryża południowym pociągiem. Przybywszy na dworzec, spotkałem się z mężem Joanny, który wyjeżdżał do swego majątku. Udało mi się wymknąć mu. Już to spotkanie rozdrażniło mnie cokolwiek; kilka pierwszych godzin podróży spędziłem na sumiennem czytaniu dzienników: następnie, po wyczerpaniu całego zapasu drukowanej bibuły, zacząłem rozmyślać. Cofnąłem się pamięcią w ubiegłe lata naszéj młodości i przed na wpół przymkniętemi oczyma memi, przesunął się cały szereg naszych wspólnych przyjaciół i towarzyszów zabaw, zdziesiątkowany już czy to przez śmierć, czy też rozproszony po szerokim świecie; trzech nas już tylko z niego pozostało: ty, Felicyan i ja. Nagle, czy wiesz, jaka myśl przebiegła mi przez głowę? Zadałem sobie pytanie, dlaczego Felicyan nie będzie razem ze mną świadkiem twojego ślubu? Dlaczego? tu przypomniałem sobie słowa twego listu, dlaczego przybyć ma dopiero w dwa dni później, na ceremonią kościelną?... Ohydne podejrzenie zbudziło się w mem sercu, zadrżałem mimowolnie, ale jednocześnie odepchnąłem je z pogardą od siebie.

Pociąg zatrzymał się tymczasem i dostrzegłem męża Joanny, wysiadającego z wagonu. Szukał mnie znowu na wszystkie strony, nie znalazłszy jednak, zwrócił się ku czekającemu nań przed dworcem pojazdowi. Co miesiąc miał on zwyczaj odbywać podobne wycieczki, spokojny i szczęśliwy, bo pełen ufności w swe szczęście. Gdy powóz jego zniknął mi już z oczów i my puściliśmy się w dalszą drogę, pogrążyłem się znowu w dumaniu. Teraz Joanna była wyłącznym przedmiotem moich rozmyślań. Niecierpliwość, z jaką wyczekiwaliśmy oboje tych wycieczek męża, zapewniających nam trzy dni zupełnéj swobody, radość nasza, gdy nadeszły nareszcie, nasze schadzki urocze podczas jego nieobecności, owa rozkoszna obawa, niepokój, grożące nam niespodziewanym powrotem, wszystko to odżyło w mojéj wyobraźni... Nagle ogarnęło mnie dziwne jakieś uczucie, coś podobnego, czego doznaje człowiek ze snu przykrego zbudzony. Chciałem odpędzić dręczące mnie myśli; słowo ci daję, że uczyniłem wszystko co było w mej mocy, aby nie uledz pod ich naciskiem. Ze dwadzieścia razy odczytałem dzienniki, usiłowałem zawiązać rozmowę z towarzyszami podróży, którzy odpowiadali mi mono-sylabami albo mruknięciem zaledwie: deklamowałem wiersze w pamięci, liczyłem słupy telegraficzne, wszystko napróżno!... Co tu począć?... Mamże wlec ze sobą tę rozgorączkowaną wyobraźnię i napastujące mnie myśli? Mam się narazić dobrowolnie na twoje szyderstwa, gdy się pokażę z twarzą tak zmienioną? Jakiż wstyd będzie dla mnie, skoro nie zdołam ukryć mego niepokoju! Po cóż to wszystko? pomyślałem sobie, czyż nie lepiéj powrócić pod jakim bądź pozorem do Paryża i zejść niespodzianie Zuzannę, zasypiającą spokojnie przy łóżeczku Piotrusia, ucałować oboje a potem uleczywszy się w ten sposób raz na zawsze z głupich podejrzeń, wyjechać powtórnie rannym pociągiem?... Doprawdy, wyborna myśl!... Na najbliższéj stacyi wysiadłem bez wahania i nie pytając wcale gdzie się znajduję; i oto czekam tu na pociąg, który za chwilę odwieźć mnie ma napowrót do Paryża. Jutro po południu dopiero będę u ciebie; stracimy tylko kilka godzin miléj pogawędki; nie żałuj ich, pomyśl raczéj, że za to przybędę w doskonałym humorze, gotów razem z tobą śmiać się z dzisiejszych moich szaleństw. Na szczęście, niedługo one trwały; wraz z powzięciem stanowczéj decyzyi, uspokoiłem się zupełnie. Boże! jakżeż szczęśliwym będę jutro!...

IX.

Czyż zdołam opowiedzieć ci straszny ten dramat, na wspomnienie którego cały drżę jeszcze! Oczy moje łez pełne i zaledwie jestem w stanie nakreślić te kilka wierszy. Wczoraj sam się śmiałem z dziecinnych obaw moich, nie przewidując nawet jak okropne groziło im rozwiązanie.

Już było po jedenastéj, gdym się znalazł na bruku paryzkim; przez drogę wymyśliłem sobie bajeczkę, dość zresztą prawdopodobną, mającą usprawiedliwić niespodziewany mój powrót. Dla wprawy, powtarzałem ją sobie kilkakrotnie, lękając się tylko że nie zdołam wytrzymać czystego spojrzenia Zuzanny, że zarumienię się mimowolnie i zdradzę niegodną odgrywaną przeze mnie komedyą. Aby więc odwlec o ile można, ciężkie to przejście, wracałem do domu pieszo, powoli, z góry już ciesząc się radosnem zdziwieniem żony i serdecznemi jéj pocałunkami.

Jestem już przed naszym domem. Podnoszę oczy w górę: okna salonu oświetlone, Tak późno! Co to ma znaczyć? Dzwonię, wchodzę szybko, przebiegam schody, otwieram drzwi i słucham: dochodzą mnie jakieś głosy; śpieszę prosto do salonu Nie ma w nim nikogo, ale na jednym fotelu spostrzegam niedbale porzucone kapelusz męzki, palto i laskę, to laska Felicyana, poznaję ją, taż sama, którą dałem mu przed ożenieniem się. Nie omyliło mnie więc przeczucie!

Słyszę szelest sukni, to pokojówka méj żony wchodzi z sąsiedniego pokoju. Spostrzegłszy mnie, wydała okrzyk przerażenia.

— Pan powrócił!... Więc pan wie,..

— Wiem wszystko. Odpowiadaj mi, ale jak umiesz najciszéj. Pan Felicyan jest tu?

— Jest.

— Oddawna?

— Pani kazała go prosić około godziny szóstéj.

— Gdzie on jest?

— W sypialni pani.

— Zostaniesz się tu; nie ruszysz mi się ani kroku, inaczéj, nie ręczę za twoje życie!

Dziewczyna zostaje w salonie, skamieniała z przestrachu. Wychodzę i zamykam ją na klucz. Wbiegam do mego gabinetu, zdejmuję pistolet ze ściany. Głowa mi pała; gwałtowne łkanie oddech mi w piersiach tamuje... Ah! więc to nie był czczy wymysł rozbujałéj wyobraźni!... Nigdy nie przypuszczałem, aby człowiek zdolnym był cierpieć tyle, ile ja wycierpiałem w przeciągu tych dwóch minut, wydających mi się dwoma wiekami! Odwodzę kurek pistoletu i zwracam się ku sypialni Zuzanny. Drzwi na wpół uchylone. Zatrzymuję się na progu. Przy łóżku widzę Felicyana na wpół pochylonego, prawie klęczącego. Zuzanna stoi obok niego. Wyciągam rękę z pistoletem, dotykam palcem kurka...

Felicyan podnosi się, przykładając chustkę do ust.

— Uratowany!... rzekł półgłosem.

— Ale panu może to zaszkodzić!... szepnęła Zuzanna.

Odwracają się oboje i spostrzegają mnie; krzyk przerażenia wydobywa się równocześnie z ich i z mojéj piersi; pistolet, wypada mi z rąk bo oto; na łóżku leży mój malutki Piotruś, blady, nieruchomy, z zamkniętemi oczyma... Rzucam się ku niemu, ale Felicyan zatrzymuje mnie.

— Pistolet!... posądziłeś więc... wyrzekł ponuro, odpychając mnie ręką.

Zuzanna rzuciła się w moje objęcia.

— Gastonie! Cóżeś ty chciał uczynić! zawołała. On, z narażeniem własnego życia dziecię nam uratował!

I w kilku, gorączkowych słowach, opowiada mi, że Piotruś, chory już od dwóch dni, co tajono przede-mną, aby nie zwlekać mego wyjazdu, że Felicyan czuwa nad nim od pojawienia się pierwszych groźniejszych symptomatów, że znalazł się w konieczności nacięcia zaatakowanéj arteryi, i że przed chwilą właśnie, pokonał niebezpieczną kryzys, własnemi usty skrzepłą krew wysysając.

Słucham milczący, skamieniały ze wzruszenia. Takiego człowieka śmiałem posądzić!... Nagle, syn mój zwraca ku mnie swe wielkie niebieskie oczy, uśmiecha się i wyciąga rączki. Biegnę do niego, całuję i zalewam się łzami. Osłabione dziecię łączy Zuzannę i mnie w długim pieszczotliwym uścisku, wspomnienie którego dotąd mnie jeszcze słodkim dreszczem przenika. Po kilku minutach uroczego zachwytu, podnoszę się. Idę do Felicyana. stojącego w głębi pokoju i z zimną krwią oglądającego mój pistolet, który podniósł z ziemi. Biorę go za rękę i pomimo oporu, ciągnę do łóżka, tu, otaczając szyję jego rączkami dziecięcia, mówię:

— Przebacz mi, przyjacielu!

Łzy zaświeciły mu w oczach.

— Przebaczam ci, odpowiedział, nie mówmy o tem więcéj.

— Ale z tobą co będzie?... takie niebezpieczeństwo...

— Stary kawaler... niewielka byłaby szkoda, choćbym i umarł.

— Ja chcę abyś żył, dla mojego syna!

— Bądź spokojny, nie umrę, rzekł uśmiechając się wśród łez, Opatrzność czuwa nad lekarzami.

Siły moje złamały się pod naciskiem tylu gwałtownych wzruszeń; doznałem zawrotu głowy, w oczach mi się ściemniło, straciłem przytomność...

Zbyt wiele wycierpiałem w ciągu tych kilku godzin, ale całe życie błogosławić będę to cierpienie, gdyż ono było lekarstwem dla mnie. Piotruś ma się dziś daleko lepiéj, niebezpieczeństwo minęło; pojutrze jadę do ciebie z Felicyanem; zdążymy jeszcze aby być świadkami twojego ślubu. Prawda, że nie wspomnisz nic o przeszłości? Pragnę wszystko zapomnieć, sam jednak widzisz, że miałem słuszność twierdząc, iż rzeczywiście każdy błąd pociąga karę za sobą. W ostatniem przejściu ciężko odpokutowałem za popełnione przewinienia; dziś spokojny już jestem. Wyspowiadałem się przed Zuzanną; obowiązkiem moim było wytłomaczyć jéj moje postępowanie, słuchała mnie w milczeniu, a gdym skończył, rzekła:

— Żałuję cię.

Nie, nie, nie potrzeba mnie żałować, bo skoro tylko Piotruś odzyska zdrowie, wyjeżdżamy do Florencyi: Zuzanna przyrzekła mi, że wyjedna zezwolenie pani de Haintenois. Pozostaniemy sami o ile się da najdłużéj, i mogę cię zapewnić, że za powrotem, zagojona rana moja nie odnowi się już nigdy. W ostatnim liście wspomniałeś, że przechowywać będziesz starannie całą korespondencyą naszą, aby mieć dokładną historą mojego szaleństwa. Jeśli chcesz, dopiszemy na ostatniéj stronicy; zamiast sensu moralnego, artykuł kodeksu, oznaczający karę na wspólnika w wiarołomstwie, ale z takim dodatkiem:

„W każdym razie skazanym będzie przestępca na brak zaufania w miłości.“

Poniżéj zaś, ja poświadczę, w rodzaju komentarza, że to jest „straszna kara“ a podpiszę się: „Mąż Zuzanny.“

LISTY Z MADRYTU.

(Dokończenie).

Z pałacu królewskiego, przejdziemy do schronienia biednych. Powstało ono z inicjatywy p. Morens Benitez, a byt swój zawdzięcza głównie miłosierdziu i hojności zmarłéj tak młodo Maryi-Wiktoryi księżnéj Aosta, wówczas królowéj hiszpańskiéj. Tak krótko zasiadała na tronie, a mimo to potrafiła uwiecznić tu swą pamięć instytucyami i bogatemi darami na cele dobroczynne.

Zakład w Pardo rozwija się pomyślnie i wielkie przysługi oddaje Madrytowi.

Chcąc oczyścić ulice stolicy z zalegających je próżniaków i włóczęgów, pan Mareno Benitez, były prefekt Madrytu, zwalczywszy niezliczone trudności, zdołał nareszcie otworzyć dom schronienia d. 24 czerwca 1869 r. pod wezwaniem św. Jana. a wkrótce potem drugi, przeznaczony głównie dla kobiet, pod wezwaniem N. Maryi Panny. Na dokonanie tego dzieła miłosierdzia nie miał żadnych funduszów prócz hojnego daru królowéj i ofiar Madrytanek, po które zgłaszał się osobiście. Gdy już domy schronienia zostały otwarte, urzędnicy policyjni otrzymali rozkaz odstawiania do nich wszystkich czy to rzeczywistych żebraków, czy udających nędzarzy, co krok napotykanych na ulicach. Żebracy pochodzący z innych prowincyi zostali odstawieni do miejsc urodzenia, a dzieci włóczące się po ulicach, zatrzymywano w domach schronienia, gdzie wkładano ich do pracy. Żebrakom mającym więcéj nad lat 25, dozwalają wychodzić jeżeli o to proszą, z warunkiem jednakże aby się nie odważali żebrać; tym którzy przebywszy obowiązujące trzy miesiące, nie chcą opuszczać zakładu, wolno pozostać, ale zniewoleni są pracować; małoletni muszą przebyć trzy lata, i dopiero gdy nauczyli się jakiegoś rzemiosła mogą być wypuszczeni. Z tego widzimy że biedacy ci nie pozostają w Pordo do końca życia; próżniacze ręce zwracają się do pracy czy to przemysłowéj czy rolnéj a pobyt w przytułku nie jest przymusowem więzieniem. W zakładach kobiety i mężczyźni pracują oddzielnie, osobno starsi, osobno dzieci, ale mają pokoje w których małżeństwa i rodziny mogą spędzać razem godziny wolne od pracy.

Przytułek ten urządzony został w domu zwanym *Ballesteria*, będącym własnością korony, ale był on tak zrujnowany iż reperacya i zaprowadzenie odpowiedniego rozkładu znacznych wymagało kosztów. Dnia 15 listopada 1869 r. otworzono dom przytułku dla kobiet, w gmachu Cuarlelillo, który minister wojny na ten cel odstąpił, ale i tu przerobienie i reperacya znaczne pociągnęła wydatki.

Jest to wielki gmach prostokątny z dwoma rozległemi dziedzińcami. Na dole mieszczą się sale rekracyjne zimowe dla młodzieży, klassy dla dzieci ze stołami i ławkami dla 150 uczni, daléj warsztaty stolarskie i rzeźby meblowéj, szewckie, kamaszy, (alpargateros) krawieckie i kuźnie, oraz doskonale urządzona piekarnia.

W części budynku przeznaczonéj dla kobiet mieści się pralnia oficie zaopatrzona w wodę. Na dole jest szkoła dla dziewcząt, w któréj uczą je czytać pisać, rachować i szyć. Tu także urządzone są szatnie i sypialnie i z nich jest wejście do małéj kapliczki, w któréj rano i wieczór odmawiają pacierze i modlitwy. Wszystkie łóżka są żelazne, materace słomiane, poduszki skórzane, kołdry i prześcieradła bardzo porządne. Kuchnie zalecają się drobiazgową czystością; jest dwie wielkie sale jadalne, w nich stoją długie stoły, ławki i półki przeznaczone do stawiania talerzy i cynowych kubków. Urządzone są także składy mąki, oliwy i jarzyn. Rano wszyscy dostają zupę, w południe obiad, o szóstéj wieczerzę i oprócz tego funt chleba dziennie. Ubiór dają im bardzo skromny ale czysty; ogólny wydatek obliczają na każdą osobę dziennie około 40 centimów.

Wszędzie tu porządnie, schludnie, wentylacya doskonale urządzona miło pomyśléć że dzięki żelaznéj woli i wytrwałości jednego człowieka, ośmset biednych istot wyrwanych z nędzy i upadku moralnego, znalazło tu schronienie, nauczyło się chwalić Boga i pracować uczciwie.

Aby dać pojęcie o użyteczności pracy utrzymywanych w przytułku, dość powiedzieć że gdy według kontraktów zawartych dla innych zakładów za funt chleba płacą dostawcom po 20 centymów, w przytułku funt z najlepszéj mąki wypada po 12 centymów.

Nazwiska najgłówniejszych dobroczyńców, wypisane są na marmurowych tablicach wmurowanych w ściany.

Dom przytułku w Pardo jest wzorowym zakładem miłosierdzia; nie pominięto tu nic niezbędnego tak dla ciała jak dla duszy, są kąpiele, rozrywki, nauczanie, muzyka, etc. Dyrektor zakładu p. Placyd Orhonez, czuwa nadzwyczaj troskliwie nad moralną stroną wychowańców zakładu, potrafił on zaprowadzić i utrzymuje wzorowy porządek i karność bez uciekania się do kar cielesnych, które tu zresztą najsurowiéj są wzbronione.

W urządzeniu tego zakładu, dwie rzeczy szczególniéj zasługują na uwagę, mały koszt utrzymania go i bardzo szczupłe gronko urzędników. Dzięki niestrudzonéj działalności p. Moreno Benitez, komitetu nadzorczego, oraz pilności i sumienności urzędników, nader szczupłe zasoby, w połączeniu z dobrowolnemi ofiarami i dochodami z loteryi, wystar-

czają na utrzymanie tak wielkiego zakładu. Cały zarząd składają: dyrektor, kontroller, jałmużnik, dozorujący składów i dyrektorka; inne obowiązki, jako to: nadzorców, odźwiernych, nauczycieli w szkółkach i doglądających chorych, spełniają wychowańcy zakładu, którym udzielają za to małe wynagrodzenie. Gdyby zakład posiadał fundusz na zakupywanie potrzebnych materyałów, praca wychowańców jego w warsztatach opłaciłaby w zupełności cały koszt jego utrzymania.

Najgłówniéj brak jeszcze tylko zakładowi temu kaplicy, w któréjby wszystkie zgromadzone tu dzieci niedoli, mogły pod jednem sklepieniem wznosić modły do wspólnego Ojca w niebie. Przemyśliwają nad tem założyciele zakładu; jest nadzieja że Bóg im dopoże i dozwoli uwieńczyć dzieło tak chlubnie doprowadzone do skutku, którego utworzeniem niezatartemi zgłoski zapisali swe nazwiska w księdze dobroczyńców ludzkości.

Przegląd literacki.

Goethe i Mickiewicz.

Od wielu już lat pomijanie lub co gorsza lekceważenie wszystkiego, co wydaje literatura polska, w ogóle słowiańska, weszło w zwyczaj u Niemców. Nie jestto jedynie wynikiem téj zarozumiałości, którą obudziły w Niemcach szalone powodzenia z ostatniego okresu dziejów współczesnych. Gdyby tylko ta zarozumiałość kierowała krytyką niemiecką, poprzestanoby na samem pomijaniu i lekceważeniu. Ale do zarozumiałości przyłącza się otwarta niechęć i dążność do poniżania wszystkiego, co polskie i słowiańskie. Z tego powodu takim nędznym pisarzom jak Erangos i Sacher-Masoch samo oczernianie stosunków polskich wystarczyło do osiągnięcia sławy i wziętości. Skwapliwie podnoszono zawsze w Niemczech każdy produkt obu tych pisarzy nie dla zalet istotnych, których albo wcale nie było albo bardzo mało, lecz dlatego, że jeden i drugi schlebiał owéj dążności do poniżania, że spotwarzał na każdym kroku wszystko co jest polskiembez względu na słuszność i prawdę.

Prawdziwie białym krukiem jest dziś w Niemczech książka lub nawet artykuł, z którego przebijałaby już nie nadzwyczajna sympatya dla polskiéj literatury i sztuki, lecz przynajmniéj słuszne i na znajomości rzeczy oparte zdanie. Takim białym krukiem jest świeżo w Lipsku wydana książka p. Aleksandra Pechnika, porównująca epiczny poemat Goethego „Hernani Dorota" z Panem Tadeuszem" Mickiewicza. Że uwaga o niechęci Niemców dla polskiéj literatury i sztuki nie jest urojeniem i nie wynika z przeceniania ułomnéj wartości, to potwierdza wstęp, którym autor rozpoczyna swoje studyum literackie. Z pewną łatwo zrozumiałą obawą, pisze pan Pechnik, występuję z tą książką przed niemiecką publicznością. Goethe i Mickiewicz jakież to zestawienie. Jak śmie nieznany pisarz porównywać wspaniałe dzieło sławnego w całym świecie koryfeusza poezyi z dziełem Polaka, który może być ceniony przez swoich rodaków, ale w Europie jest dotąd prawie nieznany? Jak zresztą słowianin stworzyć mógł coś nadzwyczajnego? Gdzie są artyści słowiańscy, którychby można postawić obok wielkich mistrzów innych ludów? Obawiam się, że takie mniéj więcéj sądy z góry się posypią. Wprawdzie nazwiska niektórych polskich artystów są już znane każdemu Niemcowi wykształconemu, ale Szopen nie jest jeszcze Beethowenem a Matejko nie jest Tycyanem. Mickiewicz zaś miałby się mierzyć z Goethem? Byłaby to rzecz nowa dla estetyków, dotąd przynajmniéj w dziełach znamienitszych na tem polu pisarzy nie spostrzegłem znajomości utworów wspomnianego poety. Wspomina o nim wprawdzie Carriere w swojéj książce o istocie i formach poezyi, ale porównanie ze Scottem i Kinklem zdaje się przemawiać za tem; że autor nie czytał największego dzieła poety polskiego. Nieznajomość ta jest zresztą łatwą do pojęcia, gdyż w innych krajach mało kto zna język polski i aż dotąd nie ma dobrych przekładów najlepszych utworów literackich tego narodu. Jest tylko jeden przekład Pana Tadeusza (R. O. Spaziera, wydany w Lipsku 1836 r. który jednak jest tak lichy, tak niezrozumiały i w najpiękniejszych ustępach tak niepodobny do oryginału, że nie mógł celu osiągnąć. Próbowałem własnym przekładem niektórych rozdziałów, które nie są najpiękniejszemi w całem dziele ale moje twierdzenia w tekście najlepiéj uzasadniają, dać przynajmniéj w przybliżeniu pojęcie o całości a rozprawa niniejsza posłuży za wstęp do kompletnego przekładu, który wkrótce wydam. Potem zapewne nikt nie odmówi słuszności mojemu zdaniu, że Mickiewicz jest jednym z tych niewielu mistrzów, u którego znaleźć można obfite wskazówki o istocie poezyi a szczególnie epicznéj. Nie myślę żeby ktokolwiek dlatego iż go prowadzą na obce mu dotąd pole, trwał uparcie w uprzedzeniu, że żaden polski artysta nie może być postawiony obok wielkich mistrzów germańskiego i romańskiego pochodzenia, żeby odrzucał wszelkie próby przekonania go, żeby wreszcie nieznanego sobie poematu nie uznał godnym głębokiego zastanowienia. Nie przypuszczam tego opierając się na zdaniu Hegla: Nam Niemcom nie braknie cierpliwości, aby z ciężkim trudem i za pomocą nauki wystudyować sposób myślenia i zapatrywania obcych narodów oraz odległych stuleci celem zastosowania się do ich odrębności. A ta wielostronność i wszechstronność w pojmowaniu i rozwinieniu ducha narodów, wyrabia w nas także i co do sztuki nietylko tolerancyą dla obcych osobliwości, lecz nadto zbytnią skrupulatność w wymaganiu największéj dokładności dla tych nieessencyonalnych rzeczy. Szczególnie w obcych dziełach sztuki cenimy każdy wierny obraz.

Ten wstęp charakteryzuje dostatecznie ducha rozprawy, pozwala z góry oczekiwać, że tym razem spotkamy się w książce niemieckiéj z prawdziwym sądem o arcydziele polskiém.

Pierwsza część rozprawy niewiele zająć może polskiego czytelnika bo jest to naukowy spór z estetykami niemieckiemi o kwestyą jakie są główne znamiona i istota epopei czy poemat Goethego zasługuje na nazwę epopei, czy jest tylko sielanką? Autor widzi w poemacie Goethego wszystkie znamiona epopei, z wyjątkiem jednego, który jednak bodaj czy nie najgłówniejszym przedstawia się w jego rozprawie. Epopeja powinna nam dawać obraz życia z jego akcesoryami komicznemi i tragicznemi, łagodnemi i wzniosłemi, strasznemi i przyjemnemi. Wprawdzie odbija się w poemacie Goethego echo współczesnych wypadków wojennych z ich tragicznemi skutkami, ale nie stanowi to przedmiotu poematu, lecz tylko tło dla sielankowych obrazków. Poeta wskazuje tylko na te wypadki, ale nie przedstawia ich czytelnikowi w całym przebiegu. Poeta wskazał na te wypadki tylko w tym celu, aby kontrastem sytuacyi obudzić żywszy interes czytelnika dla głównych postaci swojego dzieła. Epopeja musi dawać cały obraz życia, nie jeden tylko moment, a tem samem powinna zakreślić sobie jak najszersze koło. W poemacie Goethego jednym i jedynym przedmiotem jest stosunek Hermana do Doroty. W kolizyach ztąd wypływających rozwijają się charaktery małéj gruppy osób poematu, ale akcya nie sprowadza w grę tych silnych motywów, do jakich wynieść się może natura ludzka. Żadna osoba odgrywająca rolę w poemacie nie przebywa trudnéj walki, żadna nie znosi wielkich cierpień, jednem słowem, nie ma tu motywa tragicznego. Mimo to autor waha się nazwać premat Goethego tylko sielanką, w któréj przeważa najczęściéj liryczny żywioł, odpowiadający sentymentalnemu usposobieniu poety, gdy znudzony światem chroni się na łono natury. Liryczny żywioł nie przebija się z poematu Goethego, który owszem z właściwym epicznéj poezyi spokojem rozwija akcyą plastycznie i wzbudza po kolei najrozmaitsze uczucia nie dając jednak żadnemu przewagi. Z tego powodu autor zgadza się na nazwę, jaką już Hegel nadał poematowi. Jestto sielankowa epopeja i dla tego więcéj zbliża się do Odyssei niż do Iliady.

Po tym wywodzie estetycznym, z którego podaliśmy tylko to co jest niezbędnem do zrozumienia drugiéj części rozprawy o Mickiewiczu, stawia niemiecki krytyk bez żadnych zastrzeżeń twierdzenie, że w porównaniu z poematem Goethego „Herman i Dorota" „Pan Tadeusz" Mickiewicza posiada daleko większe bogactwo scen i postaci a z tego powodu większy zakrój w ogóle. Widzimy tam, mówi p. Pechnik, obraz całego narodu, stanu jego kultury jego zapatrywań, jego zwyczajów i obyczajów, jego życia publicznego i domowego, wreszcie obraz fizycznéj natury, która go otacza. Poeta epiczny najchętniéj wybiera sobie przedmiot do poematu z epoki, w któréj naród wyszedł już wprawdzie ze stanu barbarzyństwa ale nie wytworzył jeszcze u siebie zupełnéj organizacyi państwowéj. U ludów dzikich i barbarzyńskich nie panuje jeszcze prawdziwa moralność lecz całkiem mętne i niedorzeczne pojęcia o moralności, a ich tryb życia nawet niepodobny do takiego, jaki na nazwę ludzkiego zasługuje. Natomiast w społeczeństwach rozumnie z organizowanych moralność staje się potęgą, niezawisłą od dobréj woli każdego obywatela, wykonującą swe panowanie za pomocą ustaw państwowych i karzącą tych którzy jéj opór stawią. Złe zwalczają a prawa bronią nie jednostki wybitne i szlachetne swoją osobistą siłą charakteru, lecz urzędnicy, którzy jak maszyny wykonują postanowienia ustawy; rozstrzygają spory i nie mszczą się za krzywdy, lecz o ile wszystkie formalności dopełnione zostały, poddają je pod właściwe paragrafy z zimną krwią i obojętnie. Ich indywidualność wywiera tylko bardzo mały wpływ na ich działalność urzędową a ich życie prywatne jest tak słabo z zawodem połączone, że mogą być wdomu ludźmi całkiem innymi jak w kancelaryi i kierować się w życiu prywatnem odmiennem sumieniem. Tacy obywatele, którzy nie należą do zwierzchności, mają mało miejsca dla samodzielnéj działalności, którąby odpowiadała ich indywidualność. Na każdym kroku czują się krępowani nietylko tysiącem przepisów policyjnych, lecz nadto niezliczonemi pojęciami konwencyjnemi o stronności i niestosowności. Jeżeli nie chcą wystawiać się na pośmiech i naganę muszą nawet w swoim stroju i w swoich ruchach, nawet w całym trybie życia zrzec się wszelkich indywidualnych odrębności, aby nie odróżniać się od massy. Mogą posiadać odrębne pojęcia ale niewolno ich głośno wypowiedzieć a tem mniéj w działaniu do nich się stosować. Bezpieczeństwo, które obywatelom zapewniają w dzisiejszem państwie ustawy i ich organa wykonawcze, nie dopuszcza żadnych walk i czyni zbyteczną odwagę osobistą z wyjątkiem tych chyba wypadków, jeżeli tu i owdzie pojawią się czasem rozbójnicy lub wilki; albo jeżeli wielki pies

rzuci się na przechodnia. Nawet żołnierz nie jest dzisiaj niczem więcéj jak tylko lalką, którą słowo komendanta porusza. Także w pracy fizycznéj człowiek coraz mniéj jest czynny; maszyna go wyręcza. Tylko w duchowem życiu osobistość może swobodnie i zupełnie się rozwinąć: wszystkie zewnętrzne objawy stają się coraz jednostajniejsze, wszystko staje się coraz więcéj prozaicznem.

Taki tryb życia nie dostarczy pewnie dobrego przedmiotu do epicznego poematu, który wymaga życia z wielką rozmaitością i swobodnemi ruchami, który potrzebuje samodzielnych osobistości, który stanie za warunek aby osobistości te były nietylko przejęte moralnością i idealnemi pojęciami, lecz nadto urzeczywistniały te pojęcia w świecie zmysłowym i wykonywały czyny, które nietylko oceniać lecz i obserwować można. Jest to tak zwany okres heroiczny, w którym kultura już kwitnie, ale nie wydała jeszcze wszystkich owoców swoich, w którym każdy z osobna, o ile się to mu dobrem wydaje, służy dobru publicznemu, ale także nadużywać może swojéj siły tak długo, dopóki silniéjszy go nie poskromi. W tym okresie żadna władza państwowa nie przepisuje obywatelom sposobu zachowania się i nie strzeże ich od bezprawi; muszą oni strzedz się sami i o ile to jest możliwem wywalczać swoje pretensye, brać odwet za doznane pokrzywdzenia.

W takim okresie rozgrywa się akcya Iliady. Każdy z bohaterów może swobodnie działać jak mu się podoba; Naziles nie jest zmuszony iść za potężnym Agamemnonem. Każdy bohater niesie pomoc jeszcze i swojemu ludowi, dopóki dobra wola go nieopuszcza, ale gdy uniesie się gniewem, cofa się i wystawia wszystkich na niebezpieczeństwo. Od szlachetnego popędu i silnego ramienia takiego bohatera zawisł tryumf moralności. Taki okres istniał także w czasach średniowiecznych; w Polsce podobny okres istniał nawet jeszcze późniéj. Król był prawie pozbawiony władzy a szlachta zażywała nieograniczonéj wolności. Wybierała ona króla i nadawała krajowi ustawy przez posłów w sejmie ale poselstwo nie mogło silnego zmusić do posłuszeństwa dla ustaw. W razie wojny wszyscy obowiązani byli wyruszyć w pole; ale tylko dobra wola utrzymywała łączność i karność a nieraz świetne zwycięztwa nie mogły być wyzyskane dlatego, że większa część wojowników zawcześnie wróciła do domu. Czasem możni panowie na własną rękę podejmowali wyprawy nie troszcząc się ani o króla ani o sejm. Niedobrze działo się także z sądownictwem. Wyrok trudno było wykonać dla braku policyi i stałego wojska. Kto wygrał proces a miał potrzebną siłę, to formalnie zdobywał na przeciwniku to, co mu się na mocy wyroku należało.

W ten sposób przedstawia daléj niemiecki krytyk polskie stosunki. Jest to obraz dość ponury, ale widać ze wszystkiego, że uwagi nie dyktowała bynajmniéj zła wola, lecz przedmiotowy pogląd na wszystkie stosunki i ich podstawy. Brak organizacyi państwowéj tłomaczy p. Pechnik tem, że Polacy hołdowali niepraktycznemu idealizmowi w pojęciach o państwie uważające je za wielką rodzinę, któréj członkowie powinni być przejęci najlepszemi chęciami dla dobra publicznego i spełniać moralne obowiązki dobrowolnie bez żadnego nacisku. Już ta uwaga świadczy, że krytyk niemiecki nie należy do téj szkoły pisarzy niemieckich, którzy w naszych dziejach i stosunkach wszystkie niedostatki podnoszą do przesady a strony dodatnie, jasne zaciemniają lub wcale pomijają. W przypisku krytyk niemiecki zaznacza to nawet, że w Niemczech przyzwyczajono się wydawać o polskich stosunkach jak najostrzejsze sądy. Nikt tego pewnie nie pochwali, mówi autor, że w Polsce tylko szlachta zażywała praw politycznych, ale tak samo było wtedy także w innych krajach europejskich a raczéj było nawet gorzéj, Szczególnie położenie włościan było w Polsce lepszem niż w innych krajach. Błędy konstytucyi polskiéj szczególnie wygórowane prawa jednostki w obec państwa, tłomaczy p. Pechnik charakterem narodowym Polaków, w których uczucie przeważało nad rozumem. Mimo to, tak kończy autor swój uwagi godny dopisek, nie można zaprzeczyć, że Polacy wiernie spełniali i spełniają ciężkie posłannictwo dziejowe tworząc przedmurze Europy w obec azyatyckiego barbarzyństwa.

Tę epokę heroiczną swojego narodu, mówi daléj krytyk niemiecki po chwilowéj dygressyi, przedstawił Mickiewicz w swoim poemacie. Namiętnie wzburzone życie polityczne, ciągłe waśnie i rozpadanie się na stronnictwa, dziwna mieszanina egoizmu z patryotyzmem, gotowość do walki i poświęceń, właściwa rycerskiéj rasie polskiéj wierność dla wiary przez ojców wyznawanéj, dobroduszność i obyczajowość w życiu, wszystko wcielone zostało w pełne życia pastacie i przesuwa się przed naszemi oczyma wśród ciągłéj zmiany scen. Mickiewicz nie wyrósł w epoce, która mu wątku do epopei dostarczyła, mógł więc spoglądać na nią z dość znacznéj odległości, aby odróżnić światło od cieni. Z drugiéj strony jednak Mickiewicz dość był zbliżony do téj epoki, aby mógł ją dobrze zrozumieć, patrzeć jeszcze na ostatnich jéj autorów i wskutek tego zapomnieć o tak znacznéj zmianie stosunków i pojęć. Poeta nie czuł się obcym wśród tych ludzi i stosunków, które jego fantazya wskrzesała z przeszłości, zdawało mu się owszem, że spogląda na swoją młodość. Jego jasnemu pojęciu jednak wszystko przedstawiało się w prawdziwem świetle. Złych stron nie zapoznawał, złudzeniom się nie oddawał i dlatego w opowiadaniu przebija się łagodny ton ironiczny jak u Cervantesa, gdy młodzieńcze marzycielstwo rycerstwa stawiał w świetle trzeźwego rozsądku. W poemacie Mickiewicza przeważa nawet żywioł komiczny, chociaż i tragiczny dostatecznie jest reprezentowany. Powód tego objawu tkwi w samym przedmiocie. Akcya bowiem odnosi się do wielkiego, dziejowego wypadku, ale poeta nie opowiada właściwie tego zdarzenia lecz raczéj daje nam obraz obyczajowy, przedstawia spokojnie codzienne stosunki życia.

(d. n.)

Korespondencya o ubiorach.

Boulogne Wrzesień 1879 r.

Trochę podobno spóźniam się, przesyłając słów kilka z miejsca kąpieli przepełnionego licznemi tłumami gości, ale nie zawsze tak możemy jak chcemy. Przebaczcie, a teraz raczcie posłuchać com tu widziała, na co patrzyłam z wielkiem zajęciem.

Przy samym wstępie spotkał nas tu niemiły zawód. Słońce przyćmione chmurami przez całą wiosnę i lato, czarniejszym jeszcze pokryło się całunem, a deszcze, które dotąd przebiegały codziennie, lecz zostawiały przynajmniéj parę godzin wątpliwéj pogody, zamieniły się w ciągłą prawie ulewę. Spełzła więc nadzieja obfitych plonów ze świata mody. Większego niż my jeszcze zawodu, doznały te wytworne panie, które zwiozłszy tu z Paryża, pełne skrzynie strojów, przechadzają się smutne po wybrzeżach, w szarym płaszczu, w kapeluszu z ceraty.

Że jednak mimo deszczu; zwykły mekentocz zanadto ciężki na tę porę, Paryżanki wymyśliły nowy rodzaj okrywek zwanych lewitkami. Były to długie do ziemi paletoty z serży angielskiéj, w kolorach czarnym, granatowym lub ciemno piaskowym, spięte na rząd wielkich guzików. Jedyną ozdobę ich stanowi wypustka z materyi, błękitnéj, zielonéj lub amarantowéj, którą łatwo odmienić, gdy postrada świeżość na deszczu. Od szyi spadały dwie małe pelerynki zakończone wypustką; stan obciska pasek skórzany, spięty na oksydowaną klamerkę. Wielki krawat muszlinowy, związany na kokardę, rozjaśniał ten ubiór deszczowy. Dopełniały go drewniane sabociki. Jest to zupełnie nowy pomysł, wywołany potrzebą.

Paryżanki niecierpią kaloszy, jako sprowadzających w ich mniemaniu odciski i odparzenia, zwykle poprzestają na skórkowych bucikach; gdy te jednak niedostateczne w tym roku, zastąpiły je zgrabnemi sabocikami. Nie śmiemy poręczyć wygody tego zbyt nieustępnego obuwia, przyznać musimy jednak, iż te saboicki wyrabiane z hebanu, palisandru lub thui, inkrustowane konchą i metalem, bardzo ładnie się przedstawiają, na błękitnéj lub amarantowéj pończoszce.

Jeźli jednak pod gołem niebem jedyną nowość stanowiły powyższe lewitki i saboty, w obszernym zato gmachu *Casina*, można się było przypatrzéć kostiumom wszelkiego rodzaju. Rozmaitość ich wielka, inne bowiem spostrzegaliśmy rano w sali przeznaczonéj na czytelnię, inne ukazywały się po południu, bądź w sali koncertowéj, bądź pod werendą z widokiem na ocean; inne nakoniec błyszczały na wieczornem zebraniu. Opiszemy je tu z kolei.

Na rano przyjęte były powszechnie kostiumy z płótna szafirowego (bleu marin) z perkaliku, płócienka, wreszcie z lekkiéj wełnianéj tkaniny w kolorze popielatym lub piaskowym. Szczególniéj podobał się zgrabny kostium perkalikowy, w drobniuchny rzucik Pompadour, na tle szarym, koloru pain bis (razowego chleba). Spódniczka ledwie dotykająca ziemi miała u dołu dwa wolanty, odpasowane w gerlandy z polnych kwiatków. Na to szła krótka tunika, rozpięta na rogówce; bryty jéj przednie zaokrąglone w rogach, zakładały się jeden na drugi i spinały z lewego boku. Stanik długi, ze szlakiem u dołu, tworzy bluzkę, obciśniętą pasem z brązowéj skóry. Kapelusik ciemny słomkowy, podpięty wiązką polnych kwiatów, dopełnia rannego ubrania.

W kostumie gładkim perkalikowym, w kolorze kawy z mlekiem; u dołu spódniczki, szły dwie zaprasowane falbanki, nad niemi szeroka plisa, z perkaliku w tymże kolorze, zasianym w drobne kwiatki. Tunika gładka była przybrana plisą w deseń, kaftanik zaś cały w kwiatki, objęty pasem skórzanym, spięty był na guziki z konchy perłowéj.

Trzeci kostium z szafirowego płótna, w formie zbliżonéj do poprzedniego, przybrany był białemi falbankami z haftem angielskim. Falbanki te otaczały tylko dół paletocika i tunikę; spódnicę zaś u dołu zakończał plisowany wolant szafirowy.

Z powodu dżdżystej pory, mało tu widać było jasnych sukien; lekki kaszmir, lub inna wełniana tkanina, zastępowała muślin i grenadinę.

W kostumie z kaszmiru letniego, w kolorze ciemno-wiśniowym (raisin de Corinthe); pierwszą spódniczkę miała gładką boki rozcięte na łokieć od ziemi a z pod spodu wyglądała materya koloru *Caroubier*, ułożona w trzy podłużne plisy. W górze gdzie się kończy rozcięcie mieściła się kokarda ze wstążki caroubier. Na wierzch szła tunika; z przodu przytwierdzona do stanika kokardą, po bokach rozchodząca się na dwie strony, upięta na

rogówce; w tyle spadająca na ziemię długą dosyć powłoką; kończyła się u dołu plisowaną faltanką. Stanik francuzki, otwarty z przodu miał odwinięte klapki podbite materyą caroubier, rękawy wązkie; od ramienia spadał epolet, ułożony z pukielków takiejże wstążki, naszytych jeden przy drugim. U ręki, z pod rozciętego rękawa wyglądała materya caroubier nafałdowana w wachlarz; na rozcięciu kokarda. Z pod otwartego stanika, zamiast kamizelki widać było wolanciki z koronki bretońskiéj, naszyte raz nad razem; przód spódnicy był przystrojony tak samo, ale szerszą koronką. Kapelusik do tego okrągły, ze słomy brukselskiéj, przybrany pękiem piór *caroubier*.

Inny kostium młodéj mężatki, jasno popielaty był zrobiony z tkaniny lekkiéj wełnianéj, pomięszanéj z jedwabiem; spódniczkę u dołu kończyły dwa wolanciki. Tiunika z indyjskiego wyrobu *chaly* w pasy różowe, blado żółte i ciemno *caroubier*, na tle popielatem, osłaniała rogówkę, i spadała na tył sukni, dosyć długą powłoką. Stanik gładki, francuzki, rękawy ledwie że przechodziły za łokieć. Wielki kołnierz koronkowy; zakończony fryzką u szyi, zakrywał cały przód stanika; takież mankiety odwinięte w górę od rękawów. Długie rękawiczki popielate, przyciśnięte bransoletami, na szyi aksamitka czarna ze złotym medalionem, kapelusik do tego ryżowy w formie pasterskiéj, rondo przygięte nad czołem, podbite różowem *crepe de chine* podnosiło się nieco po bokach, z lewéj strony była podpięta wielka kokarda różowa, w koło płaskiéj główki wił się wieniec z róż nasunięty na przód kapelusza.

Wieczorne ubrania w Casino, wyjąwszy w dnie balowe, mało się różniły od koncertowych; ta jeszcze w nich objawiała się różnica, że miejsce kapelusika zastępowała kokarda wpięta pomiędzy włosy bądź czarna, bądź w kolorze zastosowanem do sukni. Piramidalne fryzury przeżyły już swój czas, ze szkodą dla perukarzy, ale z tryumfem smaku estetycznego. Dzisiejszy sposób czesania bardzo prosty; warkocz zapleciony nizko, spuszcza się na plecy, potem odwija w górę, przytwierdza grzebieniem lub kokardą; nad czołem włosy nakarbowane, tworzą nizkie nioby, niekiedy nawet zaczesują się gładko.

Wśród wieczorowych sukien zwracała uwagę jedna bardzo świeża, właściwa dla młodéj panienki z muszlinu w paski białe i błękitne. U dołu spódniczki szło pięć falbanek objętych wązką koroneczką *pompadour*, jest to po prostu tiulik brukselski, wywłóczony w kwiatki kolorowem jedwabiem. Tiunika bufiasta i stanik z kwadratowym wykrojem, równie jak rękawy sięgające do łokcia ogarnirowane były podobną koronką.

Pod oszkloną werendą, otwartą od morza, zasiadały w popołudniowych godzinach grupy kobiet zajętych robotkami. Jedne wyrabiały koronki z tasiemek, inne wywłóczyły na tiulu deseń płaskiemi nićmi lub kolorowym jedwabiem. Najpracowitsze haftowały krzyżową robotą pokrycia na meble, pasy do firanek, dywaniki poduszki i t. p. Mówiąc o tych robotach, dodajmy tu że najpiękniejsze ich wzory wychodzą dziś w Paryżu, z domu państwa Rayskich. Przed wyjazdem, będąc w wielkim magazynie Luwru, spostrzegliśmy w oknach prześliczne pasy i makaty, jedne zaledwie rozpoczęte, inne wykonane w połowie.

Aby zachęcić do kupna, powiedziano nam że pochodzą z zakładu pod firmą Jean-Jeanne, który otrzymał pierwszą nagrodę na zeszłorocznéj wystawie. Firma ta dobrze nam znana; wiedzieliśmy że ją przyjęli państwo Raysey, i chlubny dali jéj rozgłos w świecie przemysłowym, roboty ich rozchodzą się bowiem nie tylko po całéj Francyi, idą niemniéj do Berlina do Wiednia do Pesztu i Londynu.

Obejrzeliśmy pilnie bogaty ten zakład. Każdy przedmiot głęboko obmyślany, świadczy nietylko o smaku lecz niemniéj o erudycyi osób kierujących temi robotami. Styl każdéj epoki oddany w nich z archeologiczną ścisłością. Idąc chronologicznym porządkiem, przypatrzmy się naprzód, pokryciom na meble w stylu z czasów Henryka II-go. Deseń ich składa się z fantastycznych kwiatów i zwierząt, w kolorach dzikich, niewydatnych, obwiedzionych czarnemi konturami. Ten rodzaj najwięcéj przypadł dziś do smaku paryżankom. Styl Ludwika XIII, podobny do rysunku, lecz ożywiony tłem jasno błękitnem, weselej się przedstawia.

W stylu z epoki Ludwika XIV, panują mitologiczne obrazy. Widzimy tu między innemi przepyszny ekran; w pośrodku pląsają Bachantki, wkoło ciągnie się wieniec z winogradu, harmonijnie im odpowiedni. Styl Ludwika XV osobnem nacechowany piętnem; w miejscu bogiń, występują upudrowane pasterki w robronach atłasowych. Za Ludwika XVI-o wszystko blednie jakby przed burzą; widać tu i wstęgi i wieńce, ale czuć że chwila jeszcze, a wicher potarga i rozwieje te kwiaty.

Jeźli przedmioty powyższe bawią oko i zajmują umysł, cóż powiedzieć dopiero o prześlicznych ornatach i klęcznikach, tak w stylu gotyckim jak byzantyjskim. Na jednym klęczniku uderzył nas szczególniéj wizerunek Chrystusa z globem, artystycznie wykonany, nie ustępujący najpiękniejszym gobelinom.

Rozmaitość pomysłów zadziwia w tych robotach; weźmy oto ekram, przedstawiający dwóch zawziętych graczy; siedzą naprzeciw siebie, rzucają kości na stół, przy jednym pies, godło dobréj wiary, przy drugim kot ostrzega o zdradzie.

W skrzynce na drzewo do salonu. Z czterech stron ugrupowane są różne leśnicze narzędzia, otoczone wieńcami z szyszek, albo liści dębowych.

Wszystkie desenie pochodzą z zakładu państwa Rayskich. Główniejsze części każdéj roboty wykończone artystycznie, inne podłożone włóczką; potrzeba tylko pokryć je krzyżykami, lub też ściegiem gobelinowym.

Nowe wydawnictwa.

Czynna firma księgarni lwowskiéj Gubrynowicza i Schmidta wydała świeżo w dalszym ciągu swéj wzorowo prowadzonéj: „Bibljoteki powieści, podróży, pamiętników i opowiadań historycznych“ przekład dwutomowego dzieła angielskiego A. B. Edwardsa: „Tysiąc mil na falach Nilu.“

Książka to nader zajmująca.

Autor posiada gruntowną erudycyą w zakresie przeszłości Egipskiéj, a łączy z nią poetyczną wrażliwość dla cudownych obrazów natury tego oryginalnego świata.

Przekład dokonany starannie przez znaną z pożytecznych dzieł o wychowaniu autorkę, hrabinę Anastazyę Dzieduszycką.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 22 Октября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

KRZYŻ W MOUGUERRE.

PRZEZ

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K.P.

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz równo ze świtem, Stefan zszedł na dziedziniec pałacowy, gdzie nie było jeszcze nikogo nawet ze służby.

Masztalerz sypiający na piętrze nad stajniami, zadziwił się i rozgniewał zarazem gdy go przebudziło skrzypnięcie drzwi od stajni.

Wyjrzał oknem z zamiarem natarcia uszu śmiałkowi, który poważył się przerwać mu spoczynek; ale jakże się zadziwił spostrzegłszy że to gość i przyjaciel pana przyszedł osiodłać sobie konia, z czego wywiązał się bardzo zręcznie.

Gniew jego zamienił się nagle w uniżoność.

— Czemu też pan nie zadzwonił?... dzwonek jest tam na lewo... Jestem zawsze gotów na rozkazy pana.

— Sam już usłużyłem sobie, rzekł wsiadając na konia.

Puścił się tąż samą drogą którą wczoraj jechał powozem, i znalazł prawdziwą przyjemność w téj samotnéj przechadzce, w śliczny poranek wiosenny, przez Aleje de Boufflers, dawniéj tak ożywione, a teraz zawsze puste, odkąd kapryśna moda dała pierwszeństwo Alejom Morskim.

W małéj wioseczce za Mousseroles, zaledwie przebudzeni ze snu mieszkańcy, pokazywali sobie z zadziwieniem tego nieznanego jeźdźca, który już o wschodzie słońca wybrał się na przechadzkę, jak gdyby bogaci nie mieli całego dnia jedynie do zabawy.

I dziś także pięknie było w górach, i dziś także piękne widoki zachwycały oczy i przemawiały do serca. A gdy osłaniająca je mgła poranna rozpływała się pod działaniem żywszego promienia światła, lub gdy ją rozpraszało wonne tchnienie wiatru, chciwy wzrok Stefana pragnął ogarnąć wszystko, a piersi jego wzbierały nieznanem mu dotąd uczuciem.

— Czy i ja także miałbym uledz górskiéj chorobie? pomyślał uśmiechając się.

W myślach jego nastąpił zwrot nagły.

— Gracioza!... Dziwne imię!... dziwna dziewczyna!

Puścił konia galopem nie zważając że jedzie pod górę; szlachetne zwierzę nie opierało się jego woli, i tylko wymownem rżeniem okazało swe zadziwienie.

Stefan nie usłyszał go jednak. Spostrzegł właśnie mały biały domek, który w téj cichéj ustroni był jedyną oznaką życia.

Wzrok jego zatrzymał się na nim długo. Było to jednak prawdziwie sielskie schronienie, ubogie, jak zwykle bywają w górach, tylko odznaczające się wyszukaną swą czystością.

Jedyną ozdobą białego domku, był wązki i mały ogródek, którego jedyna uliczka ciągnęła się wzdłuż ściany. Piękne, nieznane Stefanowi rośliny, pokryte kwiatami, zastępowały tam miejsce warzywa.

Nie usprawiedliwiało to jednak tak długiego wpatrywania się w biały domek, jakby pod jego dachem kryły się jakieś skarby, gdy tymczasem dawał on tylko schronienie choréj dziewczynie, któréj nie chciał zaślubić.

Koń, zadziwiony jak widać kaprysami jeźdźca, to każącego mu galopować pod górę, to znów stać nieruchomo na równéj drodze, pozwolił sobie zaprotestować znów głośno, co wywołało w białym domku oznaki życia.

W okienku na pierwszem piętrze poruszyła się niebieska firanka, i w fałdach jéj ukazała się siwiejąca głowa margrabiny.

— Czy być może! to pan, panie de Vambry? nie wyobrazisz pan sobie z jaką przyjemnością patrzę na pana!

— Jest to dla mnie prawdziwy zaszczyt, pani margrabino, odpowiedział kłaniając się, choć nie mogę zrozumiéć czem...

— Bardzo źle spałam w téj nędznéj lepiance... Śniło mi się że byłam uwięziona... nie wiem już gdzie... zapewnie w jakiéjś fortecy... i że nikt nie przybywał mi na ratunek.

— Straszny sen, pani margrabino.

— Tak, i bardzo męczący!... Nagle usłyszałam rżenie konia. To jakiś rycerz przybywa wrócić mi wolność, pomyślałam otwierając oczy. Pobiegłam do okna i...

— I rycerz stał pod nim w istocie! dokończył śmiejąc się Stefan.

Margrabina śmiała się także, ale w jéj oczach można było łatwo wyczytać zadziwienie wyrównywające zadowolnieniu.

— Jesteś pan nieoceniony! rzekła; ale tak naprawdę, co pan robi w Mouguerre tak rano?

Pomimo całéj swéj przytomności umysłu, Stefan nie wiedział z razu co ma odpowiedziéć na to pytanie, zadane mu z trochę szyderskim uśmiechem.

— Przyjechałem aby dowiedziéć się o zdrowie panny de Fouzolle, odpowiedział nakoniec.

— O téj porze?... jestem pewna że ptaki śpią jeszcze... a tem więcéj chorzy.

— Sądzę że pani margrabina się myli: kiedy dwie godziny temu wyjechałem z domu chcąc dowiedziéć się czy wczorajszy wypadek nie sprowadził jakich złych następstw; ptaki spały jeszcze, ale teraz już śpiewają, i może nawet obudziły pannę de Fouzolle.

— Przekonamy się o tem wkrótce. Tylko, ponieważ pomimo otaczającéj nas sielskości, nie wyzwoliłam się tak dalece od przesądów cywilizacyi abym mogła kogoś przyjąć z włosami w nieładzie, pojmujesz pan...

— O któréj więc godzinie wolno mi będzie złożyć uszanowanie pani de Fouzolle? zapytał Stefan z uśmiechem.

— Pojedź pan do krzyża i wróć tu napowrót, a będę już mogła powitać pana.

Zawrócił, popędził na płaszczyznę, zatrzymał się koło krzyża, i z żywem uczuciem niezadowolnienia zeskoczył z konia.

Margrabina miała zupełną słuszność. Jego troskliwość okazana w ten sposób, musiała wydawać się dziwną i zbyteczną, tym więcéj że stan zdrowia panny de Fouzolle pozwalał jéj wrócić do Bayonny tegoż samego dnia, i że wczoraj widział ją po raz pierwszy.

— Jakże nierozsądnie postąpiłem! pomyślał rozdrażniony. Skoro niepodobna przypuścić abym się w niéj zakochał, do jakichże wniosków może doprowadzić mój pośpiech zbyteczny.

Wysoka i wysmukła postać podniosła się wolno od stóp krzyża, i Gracioza Irribery ukłoniła mu się dumnie.

— Jakże można było powiedziéć że ptaszki śpią jeszcze, rzekł kłaniając jéj się z największą grzecznością.

— Gracioza Irribery wstaje wcześniéj niż ptaki, odpowiedziała poważnie, bo musi więcéj niż one pracować.

— Czemże się zajmujesz, Graciozo?

— Zajęcia moje zmieniają się prawie codzień. Dopomagam komuś z sąsiadów w czasie żniwa lub innéj pracy w polu, wyręczam siostrę naszego proboszcza która złamała rękę, zbieram zioła w górach, pielęgnuję kwiatki w moim ogródku... a teraz opiekuję się pana narzeczoną.

— Moją narzeczoną! powtórzył pan de Vambry z lekkim odcieniem gniewu.

— Dlaczego się pan zapiera?... Jest bardzo dobra.

— Nie znam jéj prawie i...

— Może tylko zyskać na bliższem poznaniu.

— I nie zbudziła we mnie żadnego żywszego uczucia.

— W takim razie, po co było przyjeżdżać tak rano aby ją zobaczyć?

— Ale... ja przyjechałem...

— Przyjechałeś pan aby się z nią widziéć, i bardzo słusznie... Będzie pana szczerze kochać... Ma serce tkliwe i szlachetne.

Stefan poruszył się niecierpliwie. Można było sądzić że Gracioza nie chciała dozwolić aby się wytłomaczył; najgorzéj to go gniewało że nie chciała czy nie mogła rozróżnić pozorów od rzeczywistości.

Młoda Baskijka nie zważając na niezadowolnienie malujące się na twarzy Stefana, wzięła z podstawy krzyża sporą wiązankę pyrenejskich kwiatów, wśród których znajdowały się bardzo podobne do rosnących w jéj ogródku, tylko nie tak piękne, a następnie odeszła milcząc pewna że i tak pójdzie za nią.

— Czy codzień zbierasz tak dużo kwiatów? zapytał pan de Vambry.

— Niekiedy nawet daleko więcéj.

— I co robisz nimi?

— Więc nie powiedziano panu jeszcze że jestem czarownicą?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się; nie słyszał jeszcze o czarownicy tak młodziuchnéj i pięknéj.

— A! czy tak?... jesteś więc czarownicą! zawołał obrzucając ją spojrzeniem, jakie z pewnością nie padło nigdy na żadną z jéj koleżanek.

— Przyrządzam napoje dla starców, chorych osłabionych, wodę z kwiatów na oczy, maść gojącą

rany, lekarstwa dla chorych owiec. Jak pan widzi jest w tem coś nienaturalnego.

Dumny uśmiech przesunął się po rumianych jéj ustach, które nigdy nie wymówiły kłamstwa.

Spojrzenie, wysłowienie téj dziwnéj dziewczyny, równie jak i całe jéj ułożenie pełne były prostoty, a jednak wywierały na Stefana silne wrażenie.

— Czy to przyjaciele tak cię nazywają? zapytał aby podtrzymać rozmowę.

— Przyjaciele czy nieprzyjaciele tego nie wiem. Cóż mnie to zresztą obchodzi? Staram się pomagać im o ile to jest w méj mocy. Naśladuję moją matkę.

— I nikt nie staje w twojéj obronie, gdy ktoś wyraża się nieprzychylnie o tobie?

— Nasz stary proboszcz nie pozwalał aby mnie nawet żartem nazywano czarownicą; ale już nie żyje.

— A teraz?

— Nowy nie zna mnie wcale, i nic nie mówi.

— I to zapewnie sprawia ci przykrość, Graciozo?

— Nie, skoro wiem że nikomu nic złego nie czynię.

Zbliżyli się do białego domku.

Margrabina z prawdziwie macierzyńską troskliwością ustawiała przed progiem krzesełko, i Stefan ujrzał pannę de Fouzolle wychodzącą wolnym krokiem z chaty.

Siadając spostrzegła gościa, i leciuchny rumieniec ożywił trochę jéj blade lica. Była zresztą uprzedzona o jego przybyciu, i tak mu była wdzięczną za ten dowód troskliwości, że chciała go przyjąć i pokazać że odzyskała siły.

Gdyby nie chusteczka opasująca jéj czoło, nie byłoby już żadnego śladu wczorajszego zemdlenia na jéj twarzy rozjaśnionéj wyrazem niezwykłego zadowolnienia.

— Szczerze panu dziękuję, rzekła z niezwykłą sobie żywością. Jest to prawdziwy dowód dobroci pana, że mogłeś niepokoić się o zdrowie osoby któréj towarzystwo nie może być tak bardzo pożądanem.

— Wiem że przyjaciele pani będą mi za to wdzięczni, i chcąc im zrobić przyjemność, ośmieliłem się przekroczyć przepisy światowe, przybywając tu w tak niewłaściwéj porze.

— A! panie! przepisy światowe są bardzo drobną rzeczą w obec téj wspaniałéj przyrody!... i nie mogą stanowić powagi gdy sprzeciwiają się poruszeniom dobrego serca. Pozostawmy je więc w mieście.

Powiedziała to z taką swobową, że margrabina nie mogła pojąć gdzie się podziała jéj zwykła nieśmiałość.

Marya Anna podała rękę Graciozie.

— Dzień dobry ci, moja droga siostro miłosierdzia, rzekła z miłym uśmiechem, pozwól że cię przedstawię panu de Vambry jako dobroczynną wieszczkę gór.

— Która, sądząc z tego co już uczyniła, uzdrowi panią zupełnie, powiedział Stefan.

Przygasłe oczy choréj zabłyszczały.

— Wierzę w to, rzekła z mocą, i tak będzie, jeżeli tylko ona zechce.

Gracioza położyła palec na ustach.

— Trzeba najprzód prosić Boga o zdrowie, rzekła poważnie.

Szczególna doprawdy czarownica, w któréj obronie staje proboszcz, i która mówi o Bogu z tak głęboką wiarą.

Wszyscy zamilkli jakby ich myśli wzniosły się ku niebu.

— Pan nie wie o tem jeszcze, odezwała się nakoniec margrabina nie lubiąca wszelkich wzruszeń, że synowica moja chce koniecznie oddać się pod wyłączną opiekę tego oto doktora.

Gracioza chciała jéj przerwać ale napróżno.

— Pojmuje pan także, mówiła daléj, w jak kłopotliwem znajduję się położeniu. Hrabia de Fouzolle oczekuje nas w Bayonnie. Mój doktór ma dziś jeszcze odwiedzić Maryę Annę. Tylko patrzéć jak powóz po nas przyjedzie, a tymczasem nasza chora nie chce ztąd odjechać.

— Jakto, pani chce?...

— Tak, panie, tak, droga moja stryjenko, pragnę tu pozostać, pragnę oddychać tem powietrzem, które wczoraj zadziałało na mnie jak odurzający napój, ale dziś już mnie orzeźwia; chcę być pielęgnowaną przez kobietę rozumną, któréj starania przyniosły mi widoczniejszą ulgę w ciągu jednéj nocy, niżeli wszystkie zapisywane mi lekarstwa przez całe trzy lata. Posiada ona wiadomości których z książek nabyć nie można, wiadomości właściwe ludziom którzy sami sobie we wszystkiem radzić muszą. W krainie Basków wieśniacy nie znają innych doktorów nad swych proboszczów lub któregoś ze starców, a Gracioza mówiła mi dziś że matka jéj była pod tym względem bardzo uczona; dla czegóż nie miałaby nauczyć córki tego, czego ją nauczyli ludzie i własne doświadczenie?

— Unosisz się zbytecznie, moje dziecię.

— Nie, ja tylko zbijam zarzuty jakie mógłbyś mi uczynić, droga moja stryjenko... ale których mi nie uczynisz, dlatego że mnie kochasz. Co do naszych znajomych, ci nie będą tak pobłażliwi.

— Czy... pani nie męczy się zbytecznie, powiedział Stefan.

— Czuję się dziś silniejszą niż byłam od... od dzieciństwa, niestety!... To Gracioza ten cud uczyniła. Nie wydzieraj mi nadziei, droga stryjenko, zostaw mnie przy mojéj dobréj Graciozie.

Margrabina z widoczną boleścią słuchała tych słów w których biedna dziewczyna tak długo milcząca i pełna rezygnacyi, zdradzała gorące pragnienie życia, ukrywające się w głębi każdego serca.

— Moje drogie dziecię, rzekła nakoniec, nie chcę się sprzeciwiać téj fantazyi...

— O! tak, nie godzi się sprzeciwiać życzeniu chorych... a ja czuję że jestem bardzo chora!

— Przesadzasz... Ale powtarzam że zastosuję się na czas jakiś do twojéj woli.

— Jakże jesteś dobrą, droga stryjenko!

— Poprosimy Graciozy Irribery aby pojechała z nami do Bayonny.

— Nigdy, powiedziała stanowczo Gracioza.

— Sprawiedliwe nieba!... tego jeszcze brakowało!... I dlaczegóż to, jeźli wolno zapytać?

— Bo nie mogę opuścić gór.

— Ale dlaczego? dlaczego? zawołała margrabina; widocznie rozdrażniona.

— Bo tu są inni chorzy którym jestem potrzebna.

— Więcéj cierpiący niżeli Marya Anna?

— Równie cierpiący.

— Graciozo Irribery, z gór do Bayonny tylko dwie godziny drogi, odezwał się pan de Vambry, któremu szczerze było żal Maryi Anny.

— To zadaleko, odpowiedziała z gniewem; wiem co zrobić mogę... To czego żądają jest dla mnie niepodobnem.

Zmarszczyła brwi, a na jéj pięknéj twarzy przesunął się wyraz przestrachu. Stefan to dostrzegł, i przyszło mu na myśl że w sercu Graciozy musi ukrywać się jakaś bolesna tajemnica.

— Masz słuszność, Graciozo, zawołała Marya Anna; masz słuszność już przez to samo, że nie mógłbyś mi przecie przynieść z sobą do Bayonny powietrza którém tu oddycham. Nie potrzebujesz się ztąd oddalać, ja zostanę z tobą.

Margrabina załamała ręce.

— Nie możesz przecie skazywać mnie na dłuższy pobyt w téj lepiance.

— Droga stryjenko!... rzekła błagającym tonem panna de Fouzolle, wskazując wzrokiem Graciozę.

Młoda Baskijka stała z pochyloną głową i tak zamyślona jak gdyby usiłowała rozwiązać jakieś trudne zadanie. Podniosła nakoniec głowę i rzekła:

— Zaczekajcie do jutra. Jutro powiem co postanowiłam.

VII.

Warto było widzieć zdumienie margrabiny wywołane tak niesłychanem wymaganiem. Jakto! prosta wieśniaczka którą synowica jéj zaszczyciła swem zaufaniem, i któréj gościnność szczodrze wynagrodzić zamierzała, pozwala sobie tworzyć jakieś postanowienia i żądać aby się do nich stosowano!...

Jakkolwiek margrabina była dobrą, ostatnie słowa Graciozy rozbudziły jéj dumę rodową.

— Doprawdy, szalona jesteś, moja kochanko! zawołała, i dajesz jeden jeszcze dowód więcéj, że nie można nigdy bezkarnie zstępować ze stanowiska jakie nam nadaje nasze położenie towarzyskie. Zawsze z tego wypływają jakieś przykre lub śmieszne następstwa, jak naprzykład obecnie.

Gracioza wysłuchała tego nie zmarszczywszy nawet brwi, a potem odchodząc rzekła spokojnie swoim dźwięcznym głosem który tak silne sprawiał wrażenie na Stefanie.

— Jutro dam stanowczą odpowiedź.

Margrabina silniéj jeszcze rozdrażniona tą jéj zimną krwią, weszła prędko do domu.

Stefan i Marya Anna ścigali wzrokiem tę dziwną dziewczynę, śmiałą i skromną, tajemniczą i nakazującą poszanowanie, będącą jakby mieszaniną rozlicznych sprzeczności i siły pryciągającéj.

Szła oblana złotemi promieniami słońca, które czarnym jéj warkoczom skręconym nad czołem, nadawały pozór dyademu.

Obejrzała się raz, i gdy zobaczyła że Stefan i Marya Anna stojąc obok siebie patrzą na nią, oczy jéj zatrzymały się na nich chwilkę z wyrazem współczucia.

Marya Anna odczuła dobroć malującą się w tem spojrzeniu. Stefan widział tylko ogień błyszczący w jéj oczach.

— O! pokochałam ją już szczerze! zawołała Marya Anna z żywością.

Stefan zadrżał, jakby te słowa wychodzące z ust choréj były echem głosu własnego jego serca.

Milczeli zadumani, lecz choć o jednym myśleli przedmiocie, jednak myśli ich musiały być zupełnie odmienne.

Na drodze ukazał się powóz jadący wolno pod górę. Pan de Fouzolle, jakkolwiek niecierpliwy go te ciągłe wycieczki w góry, uznał że wypada mu koniecznie pojechać po córkę i bratowę.

Zobaczywszy go Marya Anna, zawołała przestraszona:

— Ach! panie, bądź pan łaskaw iść naprzeciwko mego ojca, i powiedzieć mu... Jak pan widzi, stryjenka już się gniewa... a ja czuję że jedyna nadzieja wyzdrowienia, jedyna i ostatnia jaką mieć mogę, zniknie na zawsze jeżeli się ztąd oddalę.

— Biegnę natychmiast, odpowiedział Stefan.

Podjął się chętnie pośrednictwa w téj trudnej sprawie, tak żywo obchodzącéj rodzinę wzbudzającą w nim coraz widoczniejsze współczucie.

Dobre jego chęci nie zostały wystawione na zbyt ciężką próbę, ponieważ pan de Fouzolle należał do rzędu ludzi przyjmujących łatwo fakta spełnione, byle tylko sami nie na tem nie cierpieli.

I teraz też wysłuchał zręcznego choć zupełnie wiernego sprawozdania Stefana, z razu z lekkiem zadziwieniem, a w końcu zupełnie już obojętnie.

— Marya Anna pragnie pozostać w górach, nacieszyć się sielską naturą, życzy sobie aby baskijska dziewczyna została jej doktorem, a biała koza towarzyszką! Było to może bardzo śmieszne, ale zarazem nader niewinne życzenie, a skoro spodziewała się znaleźć tam ulgę, której napróżno oczekiwała tak długo, ojciec jéj z pewnością nie będzie się temu sprzeciwiał.

Ucieszony tą jego łaskawością Stefan, nadmienił że margrabina nie przyjęła tego tak filozoficznie, i że sama myśl życia w chatce przerażała ją niewymownie.

— A któż wymaga aby zamieszkała u téj ślicznéj czarowniczki która oczarowała Maryę Annę! zawołał hrabia de Fouzolle. Wynajmiemy jaki wiejski domek w okolicy, i doktór... w spódniczce, będzie tam odwiedzał moją córkę. W każdym razie może to śmiało zastąpić pobyt u jakichś wód mineralnych.

— Wybornie! zawołał młody oficer, który tak gorąco zajmował się tą sprawą, jakby sam z niéj miał odnieść jakąś korzyść.

Nie rozmyślając nad tem jakie mogą być powody jego zadowolnienia, Stefan wysiadł spiesznie z powozu, i rzekł zbliżając się do Maryi Anny oczekującéj na ojca przed domkiem.

— Bądź pani spokojną; wszystko pójdzie dobrze.

Podziękowała mu pełnym wdzięczności uśmiechem. Miłą jéj była ta jego pomoc, to szczere zajęcie się urzeczywistnieniem jéj życzeń. Biedna dziewczyna nie była do tego przyzwyczajoną.

Margrabina posłyszawszy turkot powozu, zeszła na dół. Nie ochłonęła jeszcze zupełnie z gniewu, i widok wypogodzonéj twarzy hrabiego drażniąco działał na jéj nerwy.

— Czy wiesz, hrabio, że córka twoja chce mnie skazać na wygnanie do téj chaty, zawołała witając go.

— Byłaby to kara przewyższająca twoje siły, moja siostro; umarłabyś tu wkrótce!... odpowiedział pocałowawszy córkę.

— Jednak, gdybyś ją był słyszał...

— Wiem o wszystkiem, pan de Vambry uwiadomił mnie już o téj fantazyi Maryi Anny.

— Przyznaj, mój drogi ojcze, że nie często objawiam te fantazye.

— Dla tego też chętnie na tę zezwalam.

— O! mój ojcze!... jakże jesteś dobry! zawołała, zarzucając mu pieszczotliwie na szyję swe wychudłe ręce.

— Zezwalasz?... wyborny jesteś hrabio! rzekła margrabina. Ciekawa jestem co ze mną będzie?

Pan de Fouzolle wzruszył ramionami. Nie raz już miał sposobność przekonać się jak trudno było zadowolnić jednocześnie te dwie kobiety kochające się szczerze, ale posiadające zupełnie odmienne usposobienie.

— Będziesz mieszkać, kochana siostro, z Maryą Anną, w jakiejś ładnéj posiadłości w górach, jak w poprzedzających latach mieszkałaś w jakiéjś willi w Cauterets lub w Eaux-Bonnes.

— A!.. Ale gdzież jest ta piękna posiadłość?

— Nie wiem jeszcze, poszukamy.

— Zajmę się chętnie wyszukaniem, odezwał się Stefan.

— A cóż będziemy robić w tej ślicznéj posiadłości?... jeżeli ją nawet znajdziemy.

— To samo co czynisz co rok, moja dobra siostro: będziesz z bezgranicznem poświęceniem czuwać nad Maryą Anną.

Bądź to dzięki rozczuleniu, bądź to wpływowi pochlebstwa, margrabina udobruchała się natychmiast.

— Będzie to zawsze sezon dość oryginalnie spędzony, rzekła z uśmiechem.

Uśmiech ten zwiastował Maryi Annie zwycięztwo, pobiegła też zaraz do stryjenki aby ją uściskać.

Gracioza wróciła właśnie w téj chwili, z dużym koszykiem w ręku.

Milcząc wyjęła z niego ćwiartkę pieczonéj baraniny, rumiany placuszek, i sporo dojrzałych i pongtnie przedstawiających się wiśni. Następnie, dostała z wielkiego kufra kubeczek miodu, cztery fajansowe talerze, tyleż szklanek rznię̨tych w kwiaty, i woniejące lawendą, serwety z szarego płótna.

W mgnieniu oka stół był nakryty, i postawiła na nim jeszcze polewany, wysmukły i z długą szyją dzbanek, w którym woda dłużéj zachowuje świeżość.

— Śniadanie gotowe, rzekła, wskazując swym gościom krzesła.

Patrzeli na nią jak krzątała się po izbie zastawiając bez najmniejszego kłopotu ten skromny posiłek, do którego następnie zaprosiła ich ruchem tak pańskim, jakby do jakiejś książęcéj uczty. Jednak nie dziwiło ich już zachowanie się téj szczególniejszéj dziewczyny, któréj wpływowi ulegali pomimo wolnie.

Stała, gotowa pośpieszyć na ich usługi, grzecznie ale bez uniżoności.

Raziło to pana de Vambry, któremu zdawała się stworzoną nie do usługiwania innym, lecz do rozkazywania.

— Nie mogę na to pozwolić!... powiedział.

Przerwała mu dumnem i zadziwionem spojrzeniem, które przypomniało mu nagle różnicę istniejącą między wieśniaczką pirenejską a jakąś paryżanką.

Wszystkim, nie wyjmując Maryi Anny, smakowało to wiejskie śniadanie. Baranina była wyborna, i dowodziła ze oberżysta w Mouguerre nie napróżno był kiedyś kuchcikiem w jednéj z lepszych restauracyj w Bayonnie. Placuszek był bardzo kruchy; miód zbierany z pirenejskich kwiatów posiadał smak przewyborny, a soczyste wiśnie pochodziły z ogrodu proboszcza.

Stefan i Marya Anna byli prawdziwie zachwyceni.

Margrabina wstała pierwsza od stołu. Dobroć jéj serca wzięła górę nad chwilowem niezadowoleniem. Widząc radość synowicy, zapomniała o swych własnych upodobaniach, a uprzejmość pana de Vambry rozbudziła w niéj znów iskierkę nadziei.

— Panie de Vambry, rzekła do niego z miłym uśmiechem; skoro los przeznaczył ci wspólnie z nami rolę w téj sielskiéj komedyi, przyjmij już do końca ciężary wpływające z tego położenia.

— Z największą chęcią, pani margrabino.

— Oświadczyłeś się pan przed chwilą z gotowością oddania nam przysługi; nadeszła ter az pora spełnienia tej obietnicy.

— Czy rzeczywiście jestem tak szczęśliwym że mogę coś uczynić dla pani?

— Nawet bardzo wiele; idzie o to abyś pan zajął się wyszukaniem dla nas jakiegoś odpowiedniego schronienia. Czy zgoda?

Stefan był już przy drzwiach.

— Błagam pana, postaraj się odkryć jakieś wygodne gniazdko! dodała margrabina.

— Gdzie ja także mógłbym znaleźć dla siebie kącik, gdy zechcę odwiedzić córkę, rzekł pan de Fouzolle.

— Niedaleko ztąd, szepnęła Marya Anna.

Pomimo to usłyszał ją dobrze. O! z pewnością będzie się starał znaleźć jak najbliżéj!

Gdzież jest koń jego? Stefan nie bez wyrzutu sumienia zadał sobie to pytanie, gdyż poczuwał się do winy względem poczciwego zwierzęcia, które na czczo galopowało tak dzielnie. Jeździec zjadł śniadanie, ale o koniu zapomniał zupełnie.

Na małéj łączce, przylegającéj do ogródka Graciozy, koń całkiem rozsiodłany zajadał chciwie świeżą trawkę. Zachwycony tym dowodem troskliwości, zaczął szukać wzrokiem Graciozy aby jéj podziękować. Wyszła właśnie za nim, nie chcąc aby się przestraszył nie znalazłszy konia tam gdzie go przywiązał.

— O wszystkiem pamiętasz! rzekł do niéj z uniesieniem.

— Nie godzi się zapominać o dobrych sługach, odpowiedziała spokojnie.

Z właściwą sobie powagą i prostotą dopomogła mu osiodłać konia, czemu nie sprzeciwiał się wcale, gdyż przyjemnie mu było przyjąć od niéj tę małą przysługę. Gdy już miał odjechać wskazała mu ręką dwie ostro zakończone wieżyczki, ukazujące się w pewnéj odległości między drzewami, a które z powodu ich szaréj barwy, można było wziąść za szczyty skał.

— Sądzę że nie będziesz pan potrzebował szukać daléj; ten zamek jest niezamieszkany, i zapewnie wynajmą go chętnie tym paniom.

— Tam?... tak blizko?.. zawołał z niekłamaną radością.

— Tak, tam.

— W takim razie mogę pójść piechotą.

— Lepiéj pojechać. Trzeba przecie być w zamku, wrócić tu i powiedzieć tym paniom o skutku swych poszukiwań, a następnie jechać do Bayonny.

— Wybacz, Graciozo Irribery, ale jakkolwiek jesteś despotyczną, nie możesz mi nakazać abym opuścił tak prędko...

— Prędko!... Wszakże już przeszło od pięciu godzin zapominasz pan dla obcych sobie osób, że tam matka może niepokoić się o pana.

Miała słuszność; przypomnienie to było bardzo właściwe, trudno mu było coś zarzucić, rozdrażniło go jednak i chcąc to ukryć odjechał śpiesznie.

Wszystko co od dnia wczorajszego mówił i czynił jemu samemu wydawało się nie logicznem, a jednak nieunikionem i bardzo dla niego miłem.

Zamek był rzeczywiście dość blizko, ale z powodu wzgórzystego położenia i krętéj drogi, nie tak łatwo było dostać się do niego jak się to zrazu zdawało. Był to dawny budynek nie odznaczająay się niczem prócz swéj starości, którego właściciele już oddawna przenieśli się do innéj, weselszéj i piękniejszéj posiadłości.

W części tylko umeblowany, i pozostawiony pod opieką starego sługi i żony jego, stał opustoszały, bo jako zbyt oddalony od głównego zbiorowiska zabaw i elegancyi, nie nęcił do siebie także i obcych przybyszów. Przeciwnie dla Maryi Anny żądają-

céj tylko górskiego powietrza i blizkiego sąsiedztwa z Graciozą mógł być bardzo dogodny.

Pan de Vambry w umowie z dozorcami zamku rozwinął wszelkie przymioty doskonałego pełnomocnika; odrzucał zbyteczne wymagania, zezwalał na słuszne, żądał naprawy drzwi popsutych, usunięcia bujnéj trawy zarastającéj ulice w ogrodzie i cały dziedziniec.

— Pozbędziemy się tego wkrótce, pomyślał chodząc po zarośniętym dziedzińcu, i zadziwił się sam sobie.

Pozbędziemy się! Czy nie umiał już rozróżnić rzeczywistości. Pozbędziemy się. Cóż on może miéć nadal wspólnego z rodziną do któréj los zbliżył go na chwilę?

Mógł zająć się wyszukaniem jej pomieszkania, aby okazać się człowiekiem dobrze wychowanym i uprzejmym; ale późniéj?... gdy ta dobra margrabina zagospodaruje się jako tako w zamku, a to biedne dziewczę będzie się cieszyć nadzieją nieprawdopodobnego wyzdrowienia, cóżby on tu mógł robić?

Nieprawdopodobnego uzdrowienia? dlaczego? Wprawdzie ta młoda Baskijka nic nie przyrzekła, ale także bynajmniéj nie odjęła nadziei. Posiadała dar wrodzony, czemużby nie miała posiadać potrzebnych znajomości? Wszakże Gracioza była tak bogato uposażona od natury!...

Gracioza!... to imie zawsze nasuwało mu się na usta, jéj obraz ciągle stał mu w myśli. Wzruszył ramionami i roześmiał się, ale był to uśmiech wymuszony.

— Co za niedorzeczność! rzekł, pozwalać na to aby jakaś spotkana przypadkiem dziewczyna, mogła tak oponować nasze myśli!...

Po zawarciu umowy o wynajęcie zamku de Mouguerre, Stefan pośpieszył zdać sprawę ze swéj czynności, a łatwo się domyśléć z jaką oczekiwany był niecierpliwością i z jak szczerą radością powitany.

Hrabia de Fouzolle był ucieszony, bo sam nie potrzebował się trudzić.

Margrabina okazywała się zadowolnioną, jako kobieta dobrze wychowana, która nie chce ciągle przypominać otaczającym ją osobom że zrobiła dla nich poświęcenie.

A cóż powiedziéć o Maryi Annie! Nie umiała wysłowić Stefanowi swéj wdzięczności .. Odkąd nadzieja zabłysła w jéj umyśle, a może i w jéj młodem sercu, zwykła nieśmiałość i małomówność ustąpiła nagle miejsca jakiemuś dziwnemu ożywieniu. Czuła że jest przedmiotem jakiéjś uprzejméj, wyłącznéj i pochlebnéj troskliwości, prócz połączonéj z politowaniem troskliwości ojca i stryjenki. Od rana dostrzegła tysiące drobnych a tak uroczych szczegółów, przejmujących ją radością, choć nie śmiała odnosić ich do siebie.

Jakiż to śliczny poranek!... jak błogo żyć w górach, obok téj dobréj, ukochanéj stryjenki, téj ślicznej infirmerki, i tego nowego przyjaciela tak wesołego i uprzejmego, iż jéj się zdaje że zna go już od bardzo, bardzo dawnego czasu!

Stefan pożegnał panią i pannę de Fouzolle, wysłuchawszy ich podziękowań z prawdziwą przyjemnością, ale takby był pragnął żeby Gracioza okazała jakieś zadowolnienie że zastosował się do jéj rady, tymczasem zdawało się że dziewczyna przeniosła się myślą gdzieś daleko, nie słyszy wcale co koło niéj mówią, i nawet na pożegnanie młodego oficera odpowiedziała tylko skinieniem głowy.

VIII.

Tegoż samego dnia, pomiędzy Matyldą Bernard, a panią de Vambry toczyła się rozmowa, w któréj matka Stefana zarzucała swéj młodéj przyjaciółce że postąpiła trochę lekkomyślnie przyzywając ich do siebie, dla wydania za mąż osoby umierającéj.

— Bardzo nam miło być z tobą... u ciebie dodała; ale nie podobno nawet pomyśléć o ożenieniu Stefana z tem biednem dziewczęciem!... jéj trzeba raczéj myśléć o pogrzebie niż o weselu.

Stefan wchodzący właśnie do salonu, z przykrością usłyszał te słowa, i rzekł poważnym głosem: że jakkolwiek stan zdrowia panny de Fouzolle był rzeczywiście bardzo niezadowalniający, to przecie nie upoważniał jeszcze do takich przepowiedni.

Uwiadomił następnie jakie postanowienie powzięto w Mouguerre, i oznajmił że margrabina upoważniła go aby oświadczył matce i pani Bernard że będzie im bardzo wdzięczną jeżeli zechcą odwiedzić ją w górach.

— Wybornie! zawołała Matylda; zastosujemy się z pewnością do tego życzenia. Tem więcéj, mój drogi Stefanie, że według mnie panna de Fouzolle nie jest tak źle jakby można było wnosić z wczorajszego wypadku. Z jakąż to radością będziemy witać każdą oznakę polepszenia jéj zdrowia!

Pan de Vambry oświadczył że na nieszczęście musi wyrzec się téj przyjemności, z powodu że nie mając urlopu tylko ustne pozwolenie, nie będzie mógł pozostać u niéj dłużéj nad pięć, lub co najwięcéj sześć dni jeszcze. Pan Bernard, obecny także w salonie, połajał przyjacielsko Stefana że nie wyrobił sobie urlopu na jakie kilka tygodni, i wszyscy przeszli do sali jadalnéj.

Była to najprzyjemniejsza w całym dniu godzina dla męża Matyldy, i napełniająca go jakiemś prawdziwie błogiem zadowolnieniem. Ona ze swéj strony starała się zadowolnić to jego upodobanie, pomimo że go nie podzielała bynajmniéj; w zamian za zbytek którym ją mąż otaczał, postanowiła pamiętać o tem, aby wszystkie jego poziome zamiłowania były zaspokojone, skoro niczego więcéj do szczęścia nie pragnął. Pan Bernard był więc tak szczęśliwym, jak nim być może w jego położeniu, człowiek nie posiadający żadnych podnioślejszych uczuć i zasad, dla którego rozkosze życia materyalnego są wszystkiem.

Matylda omylona w nadziei zemsty, żałowała teraz bardzo że niepotrzebnie dozwoliła poznać czczość i próżnię swego domowego życia, temu właśnie, którego obojętność była, według niéj, przyczyną wszystkiego złego. Jednak ani wyrazem twarzy, ani jednem choćby słówkiem nie zdradziła swych uczuć, to też kiedy wieczorem pan de Vambry odprowadził matkę do jéj pokoju, oboje zgodzili się na to że Matylda zdaje się bardzo szczęśliwą.

Pan de Fouzolle, wbrew swemu zwyczajowi, zajął się tem gorliwie aby córka i bratowa mogły już nazajutrz przenieść się do zamku Mouguerre. Pamiętał o przesłaniu tam bielizny, sreber, sukien, książek ulubionych margrabiny, jéj wielkiego fotela na którym lubiła zdrzemnąć się w południe; wysłał powóz, konie, pannę służącą, nie zapomniał nawet o małym piesku. Negro, faworycie Maryi Anny. Pojechał sam do Mouguerre, przekonał się że córka będzie mieć pokój wielki, jasny, w którym nie zabraknie jéj powietrza, a bratowa apartament bardzo wygodny; zjadł z niemi obiad, był bardzo uprzejmy, a nad wieczorem odjechał zadowolniony z siebie i z innych.

— Jakże mój ojciec był dziś miły, czynny i dobry! zawołała Marya Anna po jego odjeździe.

— Nie poznaję go, doprawdy! dodała margrabina ze szczerością nie zbyt pochlebną dla hrabiego.

Nie domyślały się biedaczki powodów téj tak niezwykléj jego ruchliwości i ożywienia.

Pan de Fouzolle wracając z Mouguerre, mówił do siebie wesoło:

— Wszystko złożyło się wybornie!... Mają teraz wygodne mieszkanie, spokój, świeże powietrze, i czarownicę w miejsce doktora. Użyję teraz spokoju, swobody zupełnéj... Choroba w domu wszystko zasępia. Nie śmiem nawet pokazać się w teatrze kiedy one bawią w Bayonnie... Towarzyszyć im wszędzie, to śmiertelne nudy!... Kiedy już nacieszą się górami—tak za jakie trzy miesiące, pojadą zakończyć lato w Biarritz, a na zimę do Nicei, i ja do końca roku będę zupełnie swobodnym. Słyszałem że moja ładna wdówka, któréj rączkę chciałbym pozyskać, ma na czas jakiś przybyć do Bayonny... Będę mógł skorzystać z méj wolności i rozpocząć szturm do jéj serduszka.

Stefanowi cały ten dzień w którym towarzyszył matce i pani Bernard do Barrage, wydał się bardzo długim. Okolice jednak były piękne, a Matylda może nigdy jeszcze nie okazała się równie miłą i dowcipną. W każdym innym razie, młody oficer byłby znalazł prawdziwą przyjemność w towarzystwie tak ładnéj i światowéj kobiety, i nie pozwoliłby jéj prześcignąć się w dowcipie, ale dziś, jakiś cień snuł się uparcie przed jego oczyma, i nie dozwolił mu ocenić otaczających go przyjemności,

Był to jakiś cień lekki, niewyraźny, znikający gdy go chciał pochwycić, ale za otaczającą go zasłoną można było odgadnąć postać kobiecą. Gdyby Stefan mógł unieść tę zasłonę, czy też znalazłby za nią wątłą i rozpieszczoną Maryę Annę, czy silną i piękną Graciozę?

Jedna wzruszała go swem naiwnem zaufaniem, i tak szczerze okazywaną wdzięcznością, druga nęciła i napełniała jakimś dziwnym niepokojem, przez swą niezwyczajność i dumną obojętność. Któréj z nich obraz snuł się w jego pamięci, ukryty jeszcze zasłoną?

Fiziolog byłby w nim poznał bez wahania Graciozę Irribery, ale Stefan nie był fiziologiem. Długim także wydał mu się obiad, tym więcéj że dopiero po czarnéj kawie mógł się wysunąć do stajni, kazać sobie osiodłać Theodorosa, dzielnego konia na którym jeździł wczoraj, i popędzić galopem za miasto.

— Gdzież to jedzie pan de Vambry? zapytał pan Bernard, stojący właśnie przy oknie,

— Zapewnie dowiedziéć się o zdrowie pani i panny de Fouzolle, odpowiedziała Matylda, trochę zadziwiona tą oznaką troskliwości.

— Łaskawa pani, odezwał się znów były przedsiębierca zwracając się do pani de Vambry, winszuję, winszuję... syn pani chwyta!... o! chwyta wędkę!...

— Ale... nie wiem doprawdy... odpowiedziała zmieszana.

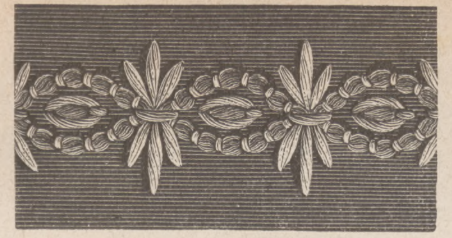
— Jakto!... wybiera się tak późno w góry, wiedząc że sama droga zajmie mu przeszło dwie godziny czasu, wróci więc dobrze po północy, i to wszystko dla pięknych... złotych oczu panny de Fouzolle, i pani nie wierzy jeszcze że chwyta!... czegóż pani jeszcze żąda?

(d. c. n.)

Opis do N. 45.

(Ciąg dalszy).

N. 20. Płaszczyk z pelerynką dla małych dzieci. Krój podług ryc. 23 w N. 23.



N. 1. Szlaczek do serwet, lambrekin i t. p. Haft kolorowy włóczką i filozelą.

Płaszczyk z popielatej flanelki, naszyty był sutaszem jedwabnym, a zapinany na guziki z konchy perłowej.

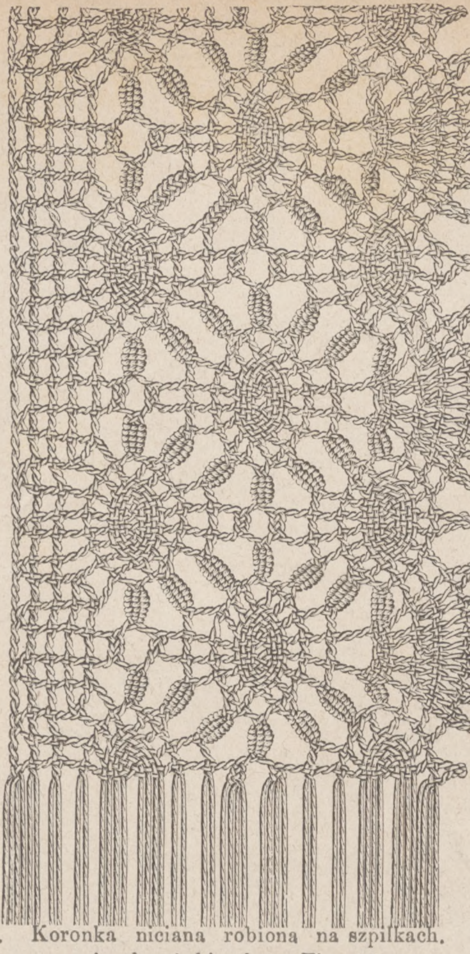


N. 5. Ściagane firanki. Haft krzyżykowy i kratki ażurowe.

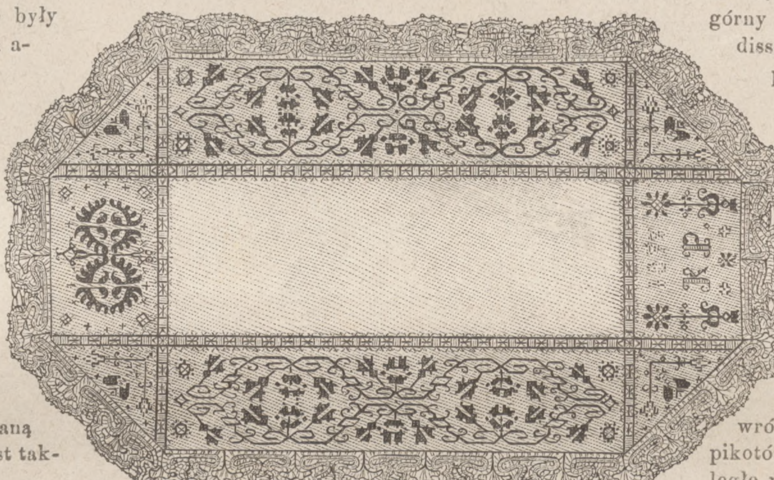
N. 21. Ubranie ranne formą princesse. Krój podług ryc. 5 w N. 28.

Szlafroczek z jasno niebieskiego kaszmiru, oszyty był u dołu sutym garnirunkiem 30 cent. szerokim, krajanym skośnie w jednym ciągu tak płaskie bufy środkowe jak falbanka i nagłówek, te ostatnie objęte były rulonikiem atłasowym.

Na szlafroczku odznaczona jest tunika piękną nicianą koronką i rulonikami atłasowemi, któremi ubrany jest także kołnierz i rękawy.



N. 3. Koronka niciana robiona na szpilkach. Deseń i wskazówki roboty Fig. 65.



N. 4. Serweta ze skośnie ściętemi rogami. Haft krzyżykowy.

N. 22. Ubranie spacerowe z paletocikiem bez rękawów dla małej panienki. Krój podług ryc. 30—31 w N. 32.

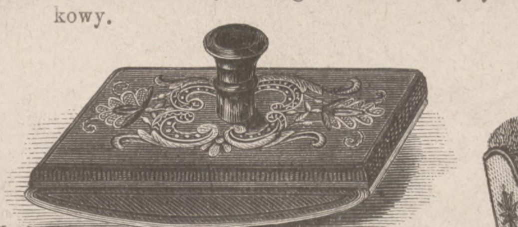
Sukienka i paletocik z ciemnego dyjagonalu przybrane były materyą takiego samego koloru. Dwie skośne falbany oszyte plisą jedwabną i jedna bufa, stanowią garnirunek dochodzący aż do paletocika, któren zdobią plisy i kokardy z materyi. Kołnierz podwójny objęty wypustką. Kapelusik biały filcowy ubrany atłasem i piórami.



N. 7. Kokarda krawatowa z frendzlą macramé, próbka na ryc. 8.

N. 24. Ubranie z okryciem burnusowem. Formę podamy na dodatku do N. 46 i 47 Tygodnika Mód.

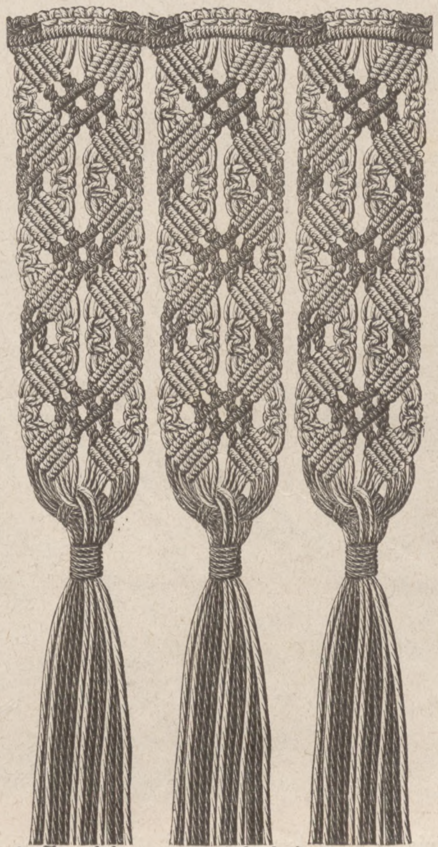
Do teatru lub do wieczorowego ubrania ciągle modne są okrycia burnusowe, jako dogodne do zarzucenia. Model odrobiony był z rodzaju miękkiego pluszu, mającego lewą stronę odmiennego koloru. Do granatowej sukni z długą tuniką, stanik i plisy dane były z weł-



N. 10. Pismosuszka ozdobiona haftem renaissance, desenie naturalnej wielkości na ryc, 11 i 12,



N. 11. Połowa deseniu do haftu renaissance do ryc. 10.



N. 8. Frendzla macramé do kokardy ryc. 7.



N. 2. Szlaczek do haftu włóczką i filozelą kolorową, do koszków, patarafek i t. p.

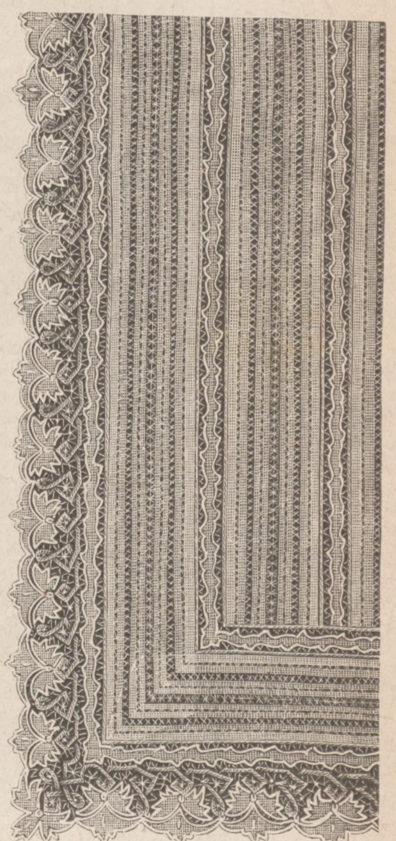
nianego mienionego i w deseń przerabianego materyału, w którego tle przeważał kolor granatowy. Kokardy z wstążki repsowej.

N. 25. Ubranie dla panienki lat 10—12.

Sukienka ze stanikiem z długą baskiną, ozdobiona jest haftem tamborkowym, robionym wprost na materyale sukni. Ścieg tamborkowy można zastąpić haftem płaskim albo krzyżykowym.

N. 26—27 Koronki dwie szydełkowe z tasiemeczką mi gnardisse.

Z dwóch podanych próbek tylko pierwsze obrobienie do N. 27 wymaga następującego objaśnienia: * 1-no o. śc. w pikot górny mignardisse, 1 o. pow., odwrócić robotę na lewą stronę i złączyć 12 dolnych pikotów sposobem tunetańskim, biorąc po dwa przeciwległe razem, po przerobieniu w górę spuścić ostatnią pentelkę z szydełka, przeciągnąć nową pentelkę przez najbliższy pikot górny, zabrać pentelkę spuszczoną i przerobić razem, dalej 1 o. pow. 1 śc. w następujący pikot, 8 o. pow 5 listków każden z 4 słup. dwa razy nawijanych, które u dołu biorą się w jeden pikot, w górze zatrzymują na szydełku, przeciągają razem 1-ną pentelką i zrabiają jednem o. śc. górne listki robią się w 3-ci, środkowe w 4-ty pikot. Następnie 2 o. pow. 1 o. śc. w 6 te z 8-iu powietrznych, 5 o pow., powtarzać od gwiazdki.



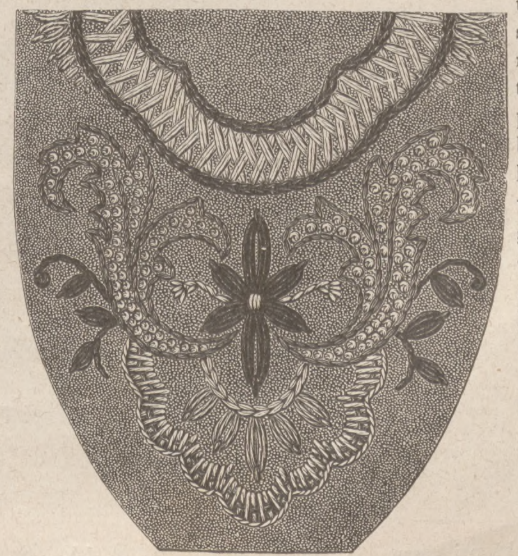
N. 6. Stóra do okna ozdobiona haftem dzierganym, kratką i koronką irlandzką.

N. 28. Szlaczek do serwetek, koszyczków lub t. p. Robota na płótnie kanwowem.



N. 9 Wycieraczka do piór ozdobiona haftem kolorowym. Deseń na Fig. 38.

Chcąc robić szlaczek na płótnie cienkim, na suknie lub innym gęstym materyale trzeba podkładać cienką nie dzieloną kanwę; stosownie do obranego materyału, do haftu używa się podwójnej filozeli, albo tureckiej kolorowej bawełny do prania.



N. 12. Połowa deseniu do haftu kolorami do ryc. 10.



N. 13. Sukienka princesse z haftowanemi plisami, dla małej dziewczynki.

N. 14. Ubranie z pelerynką dla niemłodych dam.

N. 15. Suknia ze stanikiem z długą baskiną i draperyą na spódnicy. Patrz ryc. 8 i 9 w N. 44.

N. 16. Ubranie z długim paletotem.

N. 17. Ubranie z długim bluzkowym stanikiem dla małej panienki. Patrz ryc. 23 i 42 w N. 44.

N. 18. Sukienka princess dziewczynki lat 1--3. Patrz 41. Krój N. IX, Fig. 50-

N. 19. Ubranie z okryciem jesiennem. Patrz ryc. 14 w N. 44. Krój N. VIII Fig. 46—49a.

N. 20. Płaszczyk z pelerynką dla dziecka.

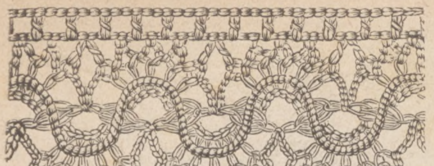
N. 21. Szlafrok ranny ubrany koronką.

N. 22. Ubranie z paletocikiem bez rękawów dla dziewczynki lat 4--6. Krój podług r. 30 i 31 w N. 32.

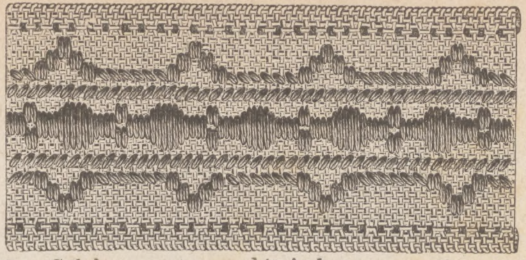
N. 23. Ubranie z długim stanikiem bluzkowym. Przód na r. 42 w N. 44.

N. 24. Ubranie z okryciem burnusowem.

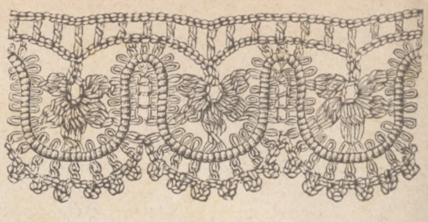
N. 25. Sukienka ze stanikiem z baskiną dla panienki lat 10 — 12.



N. 26. Koronka do bielizny z mignardisse i roboty szydełkowej.



N. 28. Szlak wyszyty na płótnie kanwowem dla ozdoby różnych przedmictów.



N. 27. Koronka do bielizny z mignardisse i roboty szydełkowej.

N. 30. Czepeczek strojny, ubrany wstążką.

Foremkę czepeczka stanowi pasek ze sztywnego tiulu 54 cent. długi, nad czołem w ząb zaszyty do którego dodaje się dla upięcia garnirunku, trójkąt tiulowy mający w prostych brzegach po 10, w skośnym 17 cent. długości. Zewnętrzne brzegi foremki ogarnirowane są drobno plisowaną, bretońską koronką, 5 cent. szeroką. Środkowe upięcie układa się z chusteczki z białej jedwabnej krepy, trzymającej 40 cent. w kwadrat, z brzegów oszytej wstawką 2 cent. i plisowaną koronką 3 cent. szeroką. Dwa jeden na drugi zachodzące rogi chusteczki obrócone są do przodu, końce układa się w sposób na ryc. 30 wskazany. Kokardy z wstążki różowej w atłasie 6 cent. szerokiej, z wysiepaną frendzlą przy końcach, przypięte z boku, między koronką nad czołem, na środku chusteczki i na końcach z tyłu.

N. 31—33. Czepeczek negliżowy z chusteczki fularowej ze szlakiem haftowanym.

Czepeczek układa się na deneczku muślinowem, mającem 22 cent. średnicy; w koło w równe fałdki zaszytem z przodu przyszytem do paska ze sztywne[illegible] tiulu, 48 [illegible] długiego a 3 i pół szerokiego, w środku w ząb spiczasty zaszytego. Zewnętrzny brzeg paska obejmuje się atłasem białym, i naszywa 1 i pół i 3 i pół cent. od brzegu koronką tiulową plisowaną, 4 cent. szeroką. Chusteczkę fularową trzymającą (bez szlaku) 21 cent. w kwadrat oszywa się szlakiem haftowznym na białej jedwabnej gazie, pelą blado różową i oliwkową do cieniu. Pod brzeg szlaku poddaje się jeszcze koronkę 2 cent. szeroką. Następnie chusteczkę upina się w sposób na ryc. 31 wskazany. Kokardy ze wstążki różowej atłasowej, przerabianej w deseń złotem, srebrem i pelą oliwkową. Rycina 33 pokazuje w jaki sposób i w jakich miejscach zakładać fałdy w chusteczce, a na ryc. 32, dajemy w naturalnej wielkości deseń do haftu.

(*dok. nast*).



N. 30. Czepeczek do teatru, ubrany wstążką i koronką.



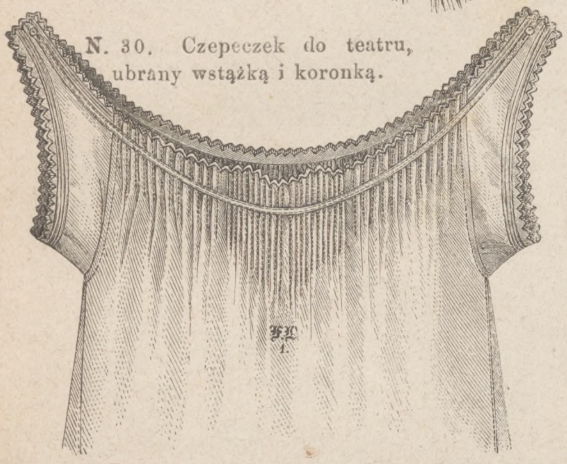
N. 29. Kreza Marie-Stuart z krepy jedwabnej.



N. 31 Czepeczek negliżowy, ubrany haftowaną chusteczką i wstążką.



E. 34. Gorset z nizko wyciętemi plecami, Krói i opis na ark, z form, N, V F, 25-33,



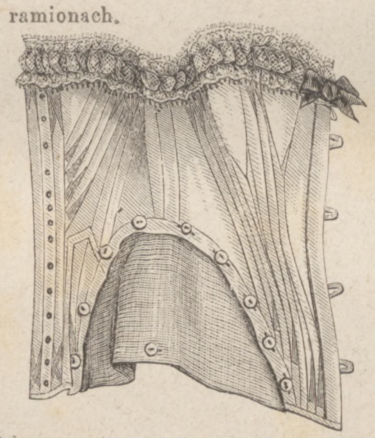
N. 35. Koszula dzienna zapinana na ramionach.



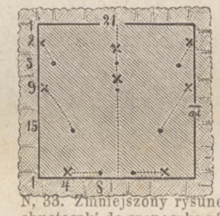
N. 32, Deseń do haftu kolorową pelą na gazie do czepeczka ryc, 31



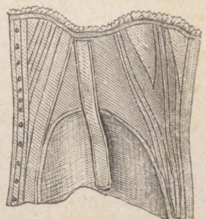
N. 36. Koszula dzienna z listewką do nawleczenia tasiemki.



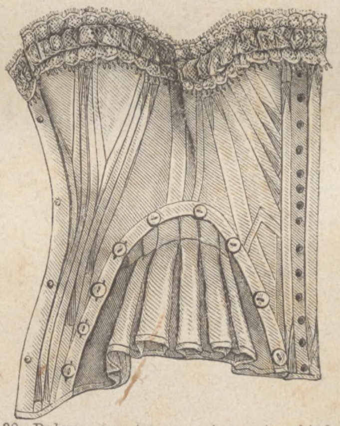
N. 37. Połowa gorseta z przypinanemi elastycznemi klinami na biodra, Krój klinów i opis na arkuszu N, VI Fig, 34, Patrz ryciny 38 i 39



N, 33. Zmniejszony rysunek chusteczki do czepeczka r 31



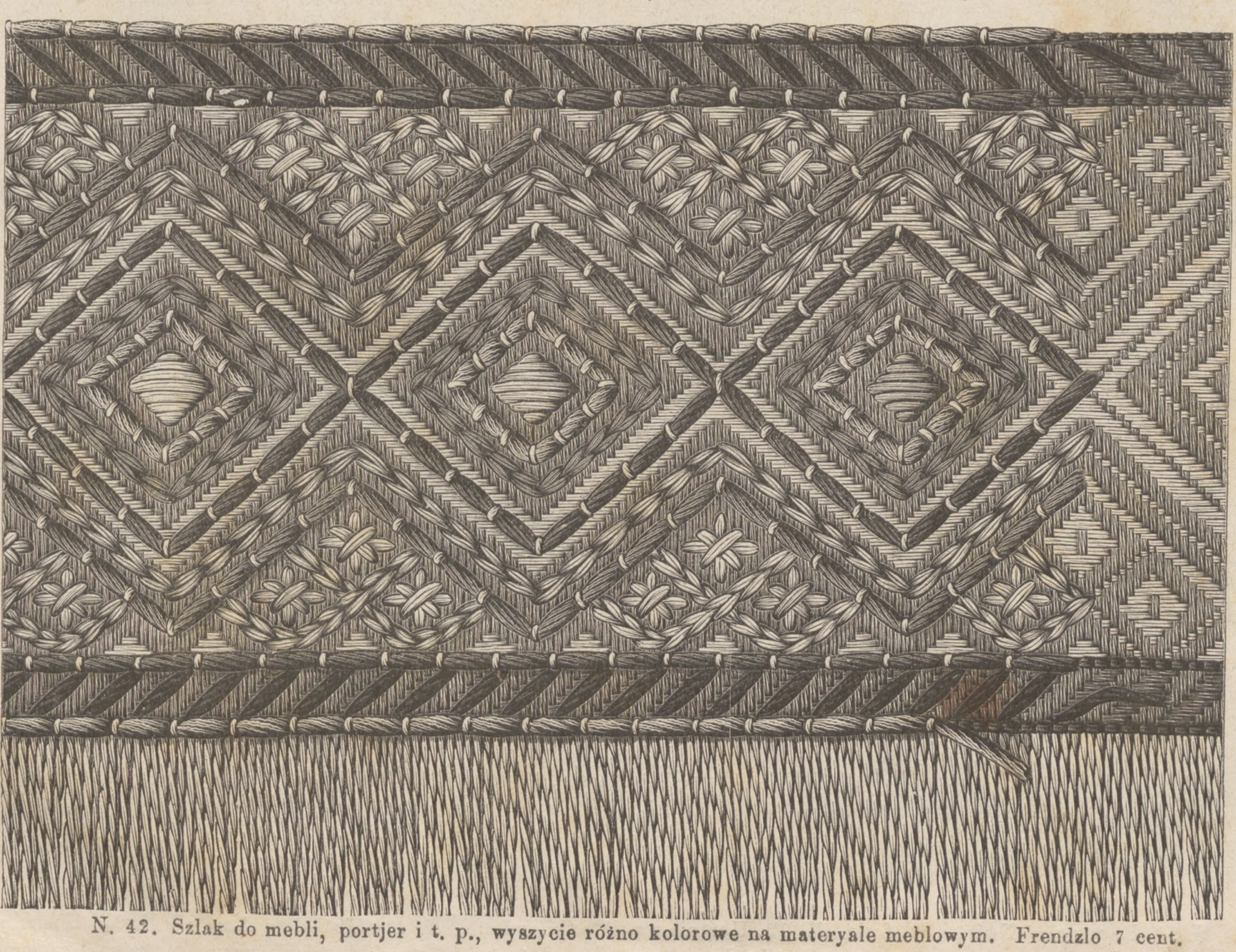
N, 39, Wewnętrzna strona gorseta z klinami elastycznemi.



N, 38. Połowa gorseta z przypinanemi na biodrach częściami fałdowanemi do sukni à panier. Krój i opis N, VI Fig. 34 Patrz ryciny 37 i 39-



N. 40. Sukienka ze stanikiem paletocikowem dla małej dziewczynki.



N. 42. Szlak do mebli, portjer i t. p., wyszycie różno kolorowe na materyale meblowym. Frendzlo 7 cent. szeroka.



N. 41. Sukienka princesse z dodaną z tyłu częścią fałdowaną, dla dzieci lat 1 — 3. Patrz plecy na rycinie 18. Krój Nr IX, Fig. 50—53.

[redacted] NIK MÓD

[redacted] 879 r.

[redacted] ami do N. 44 i 45.

[redacted] Rycina 10—11 w N-rze 44.

[redacted] B, C, E, F, G, M. ·, +) ~~~~

[redacted] miorza (L, M) — ○ — ○ —

[redacted] +) ✳ ✳ ✳ ✳

[redacted] niejszony model zestawionych części formy

[redacted] k który może być z szewiotu, waterprof'u lub t. p. materyału, ma formę luźno weinaną paletotową, jak to widzimy na ryc. 10—11 w N. 40 Tygodnika. Duży, razem z przodami wywinięty kołnierz z ranwersami, ozdobiony jest aksamitem, przestębnowany z brzegu i zarówno jak patki do kieszeni, podszyty sztywnym muślinem i podszewką. Brzegi przecięcia do kieszeni objęte są wązką listewką; do kieszeni na piersiach nie daje się patki. Brzegi szeroko na siebie zachodzących przodów, podszywa się 3 cent. szeroką listewką, w której z jednej strony robi się dziurki, z drugiej przyszywa się do zapinania, d e, płaskie, rogowe guziki; takież mniejsze przyszywa się do rękawów i kieszeni.

N. II. Płaszczyk jesienny z szerokiemi rękawami. Rycina 17—18 w N-rze 44.

Fig. 7. Przodek (N, O, R, S, T, :) jedno załamanie formy ━━ ━━
Fig. 8. Boczek (N, P) ━━━━━
Fig. 9. Plecy (P, Q, R, S) 1 zał. =×=×=×
Fig. 10. Zwierzchnia część rękawa (P, Q, S, *, :) 1 załamanie ━ • ━
Fig. 11. Spodnia część rękawa (N, T, :, *) = ○ = ○ = ○

Fig. 7a—11a. Zmniejszony rysunek razem zestawionych części formy Fig 7—11.

Na Fig. 7a — 11a wskazujemy dokładnie w jaki sposób części płaszczyka łączą się z sobą. Gdy się ramiona zeszyją od R do S, wszywa się zaraz rękaw (do którego część spodnia przyszyta jest od * do :) od T, przez N, :, S, P aż do Q; a to w ten sposób że od P—Q wpaszcza go się między szew pleców z boczkiem, a od N do T między przód i boczek. Model odrobiony z Tweedu czarnego w drobne paski, oszyty był sutaszem $^{3}/_{4}$ cent. szerokim i piękną wełnianą frendzlą. Płaszczyk taki może mieć także plecy ozdobione przybraniem, zgodnem z garnirunkiem, jak to widzimy na ryc. 18 w N. 44.

N. III. Kapturek do płaszczyka podróżnego. Ryc. 3—5 w N. 44.

Fig. 12. Główna część kapturka (U, V, X, Y, Z, ·) ⎍⎍⎍
Fig. 13. Część dopełniająca kapturek (U, V, W, Y, *) ◡◠◡◠◡
Fig. 14. Połowa wyłożenia + + + + +

N. IV. Paletot weinany. Ryc. 15—16 w N. 44.

Miara połowy górnej objętości 48, w biodrach 54 cent.

Fig. 15. Pierwsza część przodu (a) ┼┼┼┼┼┼┼┼┼┼
Fig. 16. Druga część przodu (a, b, c, d, g, h, i, k, q) 1 zał. ━ • ━
Fig. 17. Boczek (c, d, e, f) —— - —— • ——
Fig. 18. Plecy (e, f, g, h, l, n, o, p) ∖ ∕ ∖ ∕ ∖ ∕ ∖
Fig. 19. Baskina (f, i, k, l, m, u, v) ∽∽∽∽
Fig. 20. Rękaw (q, r, s, t) ✕✕✕✕
Fig. 21. Połowa pierwszej części wyłożenia (r, *, :) ○ ○ ○ ○ ○
Fig. 22 Połowa drugiej części wyłożenia (u, *, :) ━ • ━ • ━
Fig. 23. Połowa wykładanego kołnierza (s, n) ◆ ◆ ◆
Fig. 24. Patka do kieszeni (u, v) ∖ ∕ ∖ ∕ ∖ ∕

Fig. 15—24a. Zmniejszony rysunek zestawionych ze sobą części formy Fig. 15—24.

Paletocik przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 15—16 w N. 44 odrobiony był z szewiotu ciemnego w cienko odznaczoną szkocką kratę. Piękne, duże guziki formą kulistą i linje stębnówki stanowią ozdobę. Drugie części przodów poniżej zaszewek w piersiach i krótkie boczki dopełnione są na długość oddzielnie (podług Fig 19) przykrojoną baskiną, przyszytą od *i* do *f*; część zbywającą od *f* do *l* zakłada się pod spód w fałdkę przytrzymaną guzikiem. Plecy zeszyte są tylko do *o*, zaś od *o* do *p* obadwa wyłożenia zachodzą na siebie, a dalej pozostają nie zeszyte. Na wywinięcie ranwersow przyszywa się z lewej strony sposobem odwracanym kawałki zwierzchniego materyału. Otwory kieszeni przykrywają patki przyszyte podług odpowiednich znaków. Wyłożenia do rękawów przykroić podług Fig. 21 i 22.

N. V Gorset z nizkiemi plecami. Ryc. 34 w N. 45.

Fig. 25. Pierwsza część przednia (1, 2) •┼— •┼— •┼—
Fig. 26. Druga część przodu (1, 2, 3, 4, 9, 10, 11) — × — × —
Fig. 27. Boczek (3, 4, 5, 6, 12, 13, 14) ↔ ↔ ↔
Fig. 28. Pierwsza część pleców (5, 6, 7, 8, 15, 16, 17) — × — ×
Fig. 29. Druga część pleców (7, 8, 18, 19, 20) ✳ — ✳ — ✳ —
Fig. 30. Ćwikiel na piersi (9, 10, 11) • • • • •
Fig. 31. Pierwszy ćwikiel na biodra (12, 13, 14) ↔ ↔ ↔
Fig. 32. Drugi ćwikiel na biodra (15, 16, 17) ∖ ∕ ∖ ∕ ∖ ∕ ∖
Fig. 33. Trzeci ćwikiel na biodra (18, 19, 20) ⊢⊣ ⊢⊣ ⊢⊣

Krając wszystkie części gorseta zważać trzeba na oznaczony na formie bieg nitek podłużnych, następnie zeszywać je ze sobą podług odpowiednich znaków szwem podwójnym stębnowanym, podwinąwszy brzegi i zakładając jeden kawałek na drugi. Do tylnych części gorseta dodaje się z brzegu po 3 cent materyału na listewkę w którą zaszywa się po dwa fiszbiny, a w środku między niemi przebija się dziurki do sznurowania; pod inne fiszbiny daje się od spodu listewki, zarówno jak i pod brykle do zapinania gorseta z przodu. Brzeg górny i dolny obejmuje się tasiemką.

N. VI. Gorset z przypinanemi częściami na biodra. Ryc. 37—39 w N-rze 45.

Fig. 34. Część na biodra ◡◠◡◠◡◠

Gorset którego połowa przedstawiona jest na ryc. 37—38 służy głównie do lekkich balowych toalet i stanowi nowość zastosowaną do sukien à panier, które trochę odstawać powinny na biodrach. Gorset szyje się z szerokim okrągławym wykrojem na biodra, w któren wszywa się następnie elastykę, wcale nie ściskającą bioder, a na takowej przypina się następnie części stanowiące panier (zobaczyć ryc. 38. Na Fig. 34 dajemy formę podług której dopasować trzeba elastykę i kształt panier przykrojonego z tego co gorset drelichu i ułożonego w pięć wskazanych fałdek. Pod część fałdowaną daje się podszewkę ze sztywnego muślinu; każda fałda jest z wierzchu $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka a z boków 2 cent. głęboka. Tak elastykę jak i panier obejmuje się z brzegów tasiemką 1 cent. szeroką. Rycina 39 przedstawia jeszcze w jaki sposób podszywa się z boków fiszbiny $1\frac{1}{2}$ cent. szerokie, które pokrywa się drelichem i do wcięcia w pasie przyszywa się do gorseta a do końców dolnych przyszywa się guzik, na który przypina je się do elastyki.

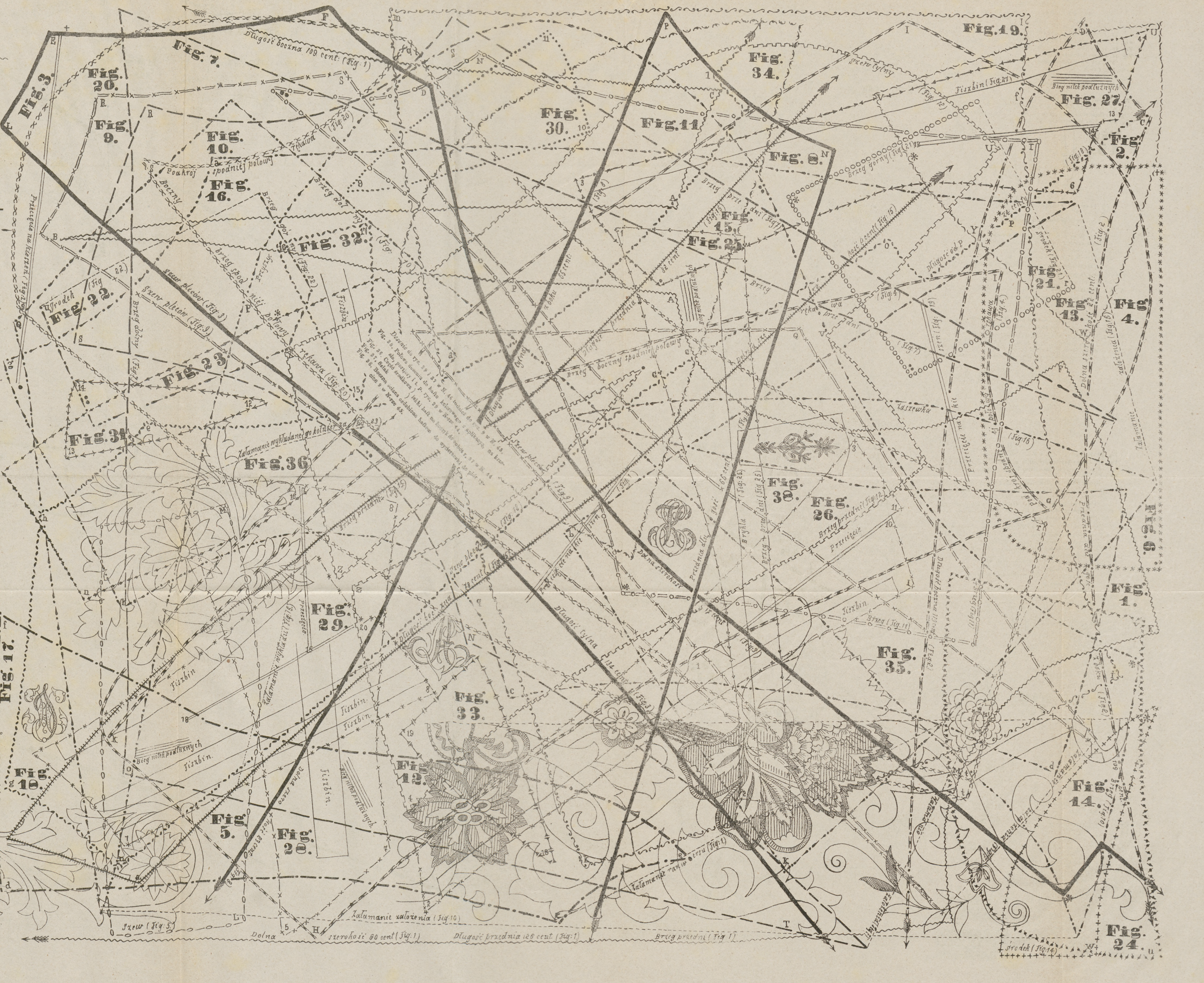



Fig. 37.

N. VII. Stanik i draperya do sukni ryc. 8 i 9 w N-rze 44 i rycina 15 w N-rze 45.

Miara objętości przez połowę: 47 w gorsie, 33 cent. w pasie.

Fig. 39. Przód (A, B, I, K, L, P)
Fig. 40. Boczek (A, B, C, D)
Fig. 41. Pierwsza część pleców (C, D, E, F, K, *) 1 założenie
Fig. 42. Druga część pleców (E, F, G, H, I, *) ═ × ═ ×
Fig. 43. Rękaw (L, M, N, O)
Fig. 44. Połowa kołnierza (G, P) — × — ×

Fig. 39a—44a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 39—44.

Fig. 45. Połowa draperyi. a połowa przodu, b połowa tylnego bryta.

N. VIII. Okrycie z szalowemi końcami. Rycina 14 w N-rze 44 i ryc. 19 w N-rze 45.

Fig. 46. Przód (Q, R, S, X)
Fig. 47. Połowa pleców (Q, R, T, U, W)
Fig. 48. Część stanowiąca rękaw (R, S, T, U, V) 1 założenie
Fig. 49. Połowa kołnierza (W, X)

Fig 45.

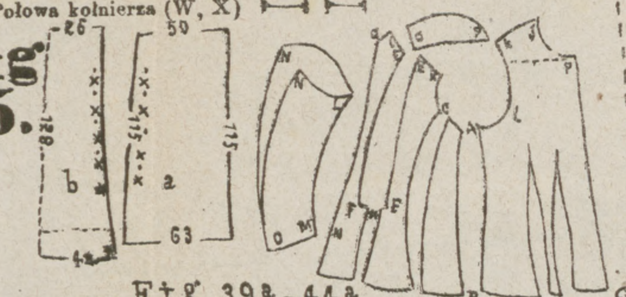


Fig. 39a—44a

Fig. 46a—49a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 46—49.

N. IX. Sukienka princesse dla dziecka lat 1—3. Ryc. 18 i 41 w N-rze 46.

Fig. 50. Przód (a, b, g, h, i) 1 założenie
Fig. 51. Pierwsza część pleców (a, b, c, d, h)
Fig. 52. Druga część pleców (c, d, e, f, g) — ✳ — ✳ —
Fig. 53. Rękaw (i, k, l, m)

N. X. Koszula dzienna zapięta na ramionach. Rycina 35 w N. 45.

Fig. 54. Połowa przedniej i tylnej części stanu (n, o) — o — o
Fig. 55. Rękaw (n, o, p) ✳ ✳ ✳

N. XI. Koszula dzienna z listewką do ściągania. Ryc. 6 w N. 45

Fig. 56. Połowa przedniej i tylnej części stanu (q, r, t, u)
Fig. 57. Połowa rękawa (q, r, s)

Fig. 57a. Deseń haftu.

N. XII. Płaszczyk z fałdowanemi plecami dla dziewczynki lat 6-8. Rycina 38—39 w N-rze 44.

Fig. 58. Przód (1, 2, 3, 4, 9, 10, 11) ═ o ═ o ═
Fig. 59. Połowa pleców (1, 2, 3, 8, ×, 1 i · 1 do × 2 i · 2)
Fig. 60. Rękaw (4, 5, 6, 7)
Fig. 61. Połowa spodniego pelerynowego kołnierza z odznaczeniem linii obu zwierzchnich kołnierzy (8, 9)

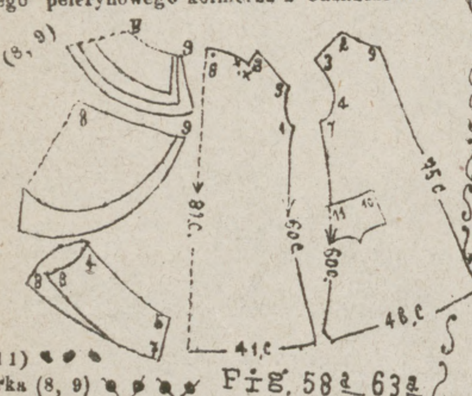


Fig. 62. Kieszeń (10, 11)
Fig. 63. Połowa kapturka (8, 9)

Fig. 58a—63a

Fig. 58a—63a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 58—63.

Ryciny 38 — 39 przedstawiają przód i plecy płaszczyka z sukienka lub t. p. materyału, uszytego z potrójnym kołnierzem lub z kapturkiem zakończonym kwastem. Fig 58 i 59 muszą być dopełnione wszerz i wzdłuż podług miar wypisanych. Przyszycie paska 5 cent. szerokiego przykrywają fałdy dane środkiem pleców, które są zastębnowane i przyprasowane płasko.

Desenie do ryc. 3 i 6 w N. 45 i do ryc. 23, 24, 27 i 30 w N. 44.

Fig. 64. Koronka do story, ryc. 6 w N. 45
Fig. 65. Oznaczenie deseni do ryc. 3 w N. 45
Fig. 66. Część deseniu łańcuszkowego do ryc. 24 w N. 44
Fig. 67. Deseń środkowy) do ryc. 24 w N. 44
Fig. 68. Część szlaku)
Fig. 69. Deseń środkowy) odpowiednie do ryc. 24
Fig. 70. Część szlaku)
Fig. 71. Część środkowa) do ryc. 23 w N. 44
Fig. 72. Część szlaku)

